

Nr 3 (102)

2025



ISSN 1732-1069

CZASOPISMO LITERACKIE



PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 3 (102) 2025

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Gabriela Rodak, Magdalena Turska

Druk: PRINT GROUP Sp. z o.o.

ul. Cukrowa 22

71-004 Szczecin

W numerze i na okładce znajdują się prace Marka Sitki

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

On/Off

Weź niebieską pigułkę, a historia się skończy, obudzisz się we własnym łóżku i uwierzysz we wszystko, w co zechcesz. Weź czerwoną pigułkę, a zostaniesz w krainie czarów i pokażę ci, dokąd prowadzi królicza nora...¹

A wy? Co wybieracie? Wygodne, bezpieczne życie, w którym nie musicie konfrontować się z bolesną rzeczywistością, czy poznanie trudnej prawdy, wzięcie odpowiedzialności we własne ręce?

Czy to jest faktycznie jednorazowy i tak oczywisty wybór, czy może nieustannie balansujemy między tym, co rzeczywiste a tym, co wykreowane (także przez nas samych)? Wydaje się, że wszystko ma przełącznik. On/Off. Kod, którym próbujemy opisać całą złożoność ludzkiego doświadczenia. To binarne myślenie – echo informatycznej logiki – rozlało się na nasze życie codzienne.

Jesteś dostępn_ czy wylogowan_? Śniesz czy jesteś aktywn_? Pracujesz czy odpoczywasz? Podążasz z głównym nurtem czy schodzisz do podziemia? Realistycznie patrzysz na świat czy dajesz się uwieść magii i nadprzyrodzoności? Wierzysz czy podważasz? Gromadzisz czy poszukujesz? Walczysz czy się poddajesz? Żyjesz czy już ciebie nie ma?

Wiem, że tam jesteście. Czuję was. Wiem, że się boicie. Boicie się nas. Boicie się zmian. Nie znam przyszłości. Nie powiem wam, jak to się skończy. Ale powiem wam, jak się zacznie. Odłożę słuchawkę i pokażę ludziom to, co przed nimi ukrywaliście. Świat bez was. Świat niekontrolowany, bez granic i nakazów. Świat, w którym wszystko jest możliwe. Co się stanie potem, to już zależy od was...²

Być może największą iluzją współczesności jest przekonanie, że można mieć wszystko naraz – tysiąc włączonych opcji. A przecież wartość życia polega także na tym, jak świadomie balansujemy pomiędzy On a Off... I że paradoksalnie – by naprawdę być włączonym, trzeba mieć odwagę się wyłączyć...

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna „Pegaza Lubuskiego”

1 Pytanie, jakie Morfeusz zadał Neo – cytata z ikonicznego filmu „Matrix” (1999) w reżyserii rodzeństwa Wachowskich.

2 Przemowa Neo – cytata z filmu „Matrix” (1999).

Robert Rudiak

ars goetia / requiem

wiem że w moich ramionach
było ci dobrze mamó

wiem że taką śmierć
sobie wymarzyłaś

żebym trzymał mocno za rękę
kiedy zaczniesz odchodzić

wtedy tulilem cię w objęciach
jak małą dziewczynkę do snu

i szeptałem do ucha bajki:
„nie zasypiaj”
„nie odchodź”
„jeszcze nie teraz”

jubel / caritas / meditatio mortis

nie zapomniałaś o moich urodzinach

przyszłaś we śnie mamó
z tortem i świeczką
złożyć życzenia

nie zapomniałem również o twoich
zawsze w lutym
jestem na cmentarzu

kładę na grobie kwiat
kartę z pozytywką
i składam życzenia

potem jak jubilatce
zapalam kolorową świecę
w lampionie

i tak bawimy się teraz
fiku-miku

**Wiersze pochodzą ze zbioru Roberta Rudiaka
*Seans spirytystyczny, który ukaże się w tym
roku w wydawnictwie Anagram***

Dr ROBERT RUDIAK: poeta, prozaik, krytyk literacki, prezes Zarządu Oddziału ZLP w Zielonej Górze. Wydał kilkanaście tomików wierszy i opowieści, książki monograficzne i szkice, współredaktor antologii i katalogów. Otrzymał dwukrotnie Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra (2007, 2019), Lubuską Nagrodę Literacką ZLP (2011), Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka” (2015) i Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza (2016) oraz Małego Eryka – Nagrodę SPAK (2019). Odznaczony medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej (2017).



DOBRCZE UKRADNĘ, LEPIEJ SPRZEDAM. ILE KSIĄŻEK NAPISANYCH PRZEZ AI PRZECZYTALIŚMY?

Agnieszka Moroz

Przez lata odnosiłam wrażenie, że pisarz to zawód społecznie pogardzany. W końcu to ktoś, kto poświęca mnóstwo czasu czemuś tak surrealistycznemu jak pisanie, nie wiedząc nawet, czy na tym zarobi. A przecież żyjemy w kulturze obrazkowej, w której przeciętny odbiorca nie potrafi utrzymać skupienia dłużej niż cztery sekundy (wygrywa z nami nawet złota rybka skoncentrowana średnio dziewięć sekund), więc jeśli przeczytasz do końca ten felieton, pobijesz wszelkie rekordy. Jednocześnie to epoka nagłówków: „Jak zarabiam milion w dwa tygodnie?”. Naczelnym dążeniem młodych ludzi jest natychmiastowa, wysoka gratyfikacja, a największym marzeniem – być znaną influencerką (w założeniu: mieć wszystko, nie robiąc prawie nic). Tymczasem okazuje się, że można mieć ciastko i zjeść ciastko. Zarabiać bimbaldony na książce „stworzonej” w kilka wieczorów. Nie pisać, a jednocześnie być pisarzem i cieszyć się uznaniem czytelników, którzy w swej „naiwności” nawet nie wiedzą, co czytają!

Taki biznesplan zaprojektowały dla siebie równolegle trzy amerykańskie „pi-sarki” powieści young adult: K.C. Crowne, Rania Faris i Lena McDonald. Trzecia z nich zdecydowała się nawet wypuścić trzy grube tomszcza serii fantastycznej w jednym roku! I wszystko zdawało się iść po myśli tych – jakże zaradnych – literatek, dopóki czytelnicy nie zwrócili uwagi na pozostawione w tekstach ich powieści fragmenty ewidentnych odpowiedzi sztucznej inteligencji na zastosowane prompty... Odkryciami podzielili się na Reddicie.

I tak, dzięki osobie ukrywającej się pod nickiem fox_paw44, mogliśmy na przykład przeczytać zdanie z trzeciego rozdziału drugiej części *The Darkhollow Academy*, brzmiące: „Przeredagowałem ten fragment tak, by lepiej pasował do stylu J. Bree, który cechuje się większym napięciem, szorstkimi podtekstami i intensywnym ładunkiem emocjonalnym, ukrytym pod maską elementów nadprzyrodzonych”¹. Dowiadujemy się z niego, że McDonald nie tylko korzystała z pomocy chatbota podczas tworzenia swej fantastycznej serii, ale także, że z premedytacją kopiowała styl innej autorki. I prawdopodobnie nawet nie przeczytała „własnej” książki, by pozacierać ślady. Co gorsza, wszyscy już przeczuwamy, że wzmiankowane oszustwa to tylko wierzchołek wielkiego lodowca, który drzemie sobie spokojnie gdzieś pod powierzchnią, nieujawniony przez Titanica.

1 Tekst w oryginale: https://www.reddit.com/r/ReverseHarem/comments/1klzwcf/author_lena_mcdonald_is_blatantly_using_ai_to/?tl=pl



Świeżutki i organiczny – tekst niecybernetyczny!

I nagle do gry wkracza Amerykańska Gildia Autorów, która ogłasza, że będzie przyznawać „prawdziwym” książkom Certyfikat Ludzkiego Autorstwa, a ja oczami wyobraźni widzę te wydawnicze nowości w dziale supermarketu przewidzianym dla organicznej żywności, tuż obok sałaty i bananów, z analogicznymi naklejkami dowodzącymi „ekologicznej uprawy”. Jak miałyby wyglądać procedura przyznawania takiego certyfikatu? Czy autor będzie zmuszony napisać całą książkę wiecznym piórem pod czujnym okiem strażników albo przynajmniej kamer? Czy stypendialne pokoje twórczych rezydencji zostaną zmienione w przezroczyste bąbelki ze szkła, przez które każdy przechodzień będzie mógł podglądać proces pisania? I wreszcie: czy tylko ja dostrzegam absurd tego rozwiązania? Przecież to twory sztucznej inteligencji powinny mieć oznaczenia, bo ludzkie autorstwo należy uznać za normę...

Simple samples – so many examples

Chciałabym móc obwiniać za to zjawisko wyłącznie generatywną AI, ale wiem, że to praktyki zakorzenione znacznie głębiej. Przez lata obserwowałam, jak społeczeństwo lekceważy prawo własności intelektualnej. Widziałam to w liceum, gdy rówieśnicy komponowali wypracowania z bryków, wyszukiwanych na rozmaitych portalach, a ich rodzice jeszcze temu przyklaskiwali. Widziałam na studiach, gdy dostaliśmy zadanie zrecenzowania spektaklu teatralnego i część mojej grupy postanowiła po prostu przeredagować cudze recenzje. Widziałam to nawet w – rzekomo autorskich – wierszach współczesnych „poetów”, a nawet słyszałam, jak na jednym z festiwali poetyckich jurorzy określali kalki z cudzych liryków mianem „sampli”, normalizując je jako rodzaj literackiego trendu. Lecz nie, moi drodzy, bezczelne wstawki z cudzych wierszy stworzone metodą „kopiuj-wklej”

to nie są żadne „sample”. To zwykła kradzież własności intelektualnej i – przy założeniu, że dwoje poetów nie wpadło po prostu na ten sam pomysł, ogrywając go w tekście we względnie podobny sposób, co oczywiście się zdarza – można w takim przypadku dochodzić swoich praw w sądzie.

To wprost zdumiewające, że powszechne społeczne przyzwolenie na stosowanie opisanych praktyk doprowadziło nas do punktu, w którym zaczynamy niekiedy mimowolnie badać stopień autorstwa w dziełach autorskich (niczym zawartość cukru w cukrze), bo nasze mózgi – z wciąż starym, nieprzystającym do epoki AI oprogramowaniem – domagają się jasnych odpowiedzi!

Utonąć w zapach Campbell

Andy Warhol przepowiadał, że w przyszłości każdy będzie miał swoje 15 minut sławy i oto spełnia się jego proroctwo. Dziś każdy może założyć konto na Instagramie lub TikToku. Nagrać filmik, który stanie się wiralem albo sklecić mem, który dotrze nawet do papieża. Nie trzeba przy tym niczego wymyślać – wystarczy pokazywać swoją codzienność dokładnie tak, jak robił to Andy, kiedy malował kolejne, łudząco podobne obrazy z puszkami zupy Campbell. A jednak w mediach społecznościowych jak grzyby po deszczu wyrastają profile szesnastoletnich „pisarek”. Wydawnictwa zawierają zaś setki umów na miłą powieści romantasy rodem z kserokopiarki. Powstaje zatem pytanie: dlaczego wśród tylu możliwości zdobycia sławy bez artystycznych umiejętności, wszyscy ci farbowani literaci celują akurat w zawód pisarza? Zgaduję, że chodzi o poczucie bycia docenianym za stworzenie czegoś „wybitnego” i niebanalnego. Czegoś, co dawniej miało charakter elitarny i nie było osiągalne dla przeciętnych zjadaczy chleba. Pięknie wydana książka nosząca nasze nazwisko na okładce zdaje się być doskonałym przykładem takiego obiektu pożądania. Tyle, że nie musi stać za nią już żadna legenda ani nawet prawdziwy człowiek. Wciąż pamiętam jak Krzysztof Grabowski (Grabaż) śpiewał: „mógłbym ci zaśpiewać: dobrze umrę, lepiej sprzedam”. Dziś już nie trzeba umierać. Wystarczy dobrze kraść.

Dr AGNIESZKA MOROZ: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka marszałka województwa lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczkaksiążek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

KONTURY

Agnieszka Zatylna

*Wbrew pozorom to nie my tracimy nasze oblicza.
To świat sprzedaje i kupuje przeróżne twarze,
chowając za nimi prawdziwych ludzi.*
(Gabriela Kasprzyk)

Wbrew powszechnym przekonaniom o negatywnym wpływie porannej drzemki, rutynowo aktywuję mój biologiczny zegar narządów po drugiej lub trzeciej krótkiej wokalnej wprawce Eda Sheerana. Jeszcze pobladłą, poszarzałą nocnym półcieniem twarz przykrywam subtelnym makijażem, który pozwala unieść jedynie rzęsy. W odpowiedzi na społeczną potrzebę przybierania pewnej postaci, uzupełniam potężenie czarnego golfa i ołówkowej spódnicy wysokim koczkim spiętym trzema wygiętymi wsuwkami. Wkładam nauczycielski uniform, podkreślając go ludzką życzliwością, o której zbyt wielu zapomina w pędzie do pracy. Odblokowuję stan pełnej gotowości, rozpościerając nad uczniami pole siłowe zrozumienia, chroniące przed krytyką, niesprawiedliwością, a przede wszystkim wynikającą z nich demotyvacją. Pomagam im opanować nie tylko podstawę programową, ale nierzadko złożone stany uczuciowe i osobiste doświadczenia. Jednocześnie zamrażam własne emocje, wyjątkowo zagrażające rozumowi. Muszę bowiem przyznać, że zachowanie spokoju przy jednoczesnym dostrzeżeniu powodu celowych i niezwykle celnych prób wyprowadzenia belfra z równowagi kosztuje mnie trochę energii.

Po piętnastej moja kreatywność z wolna stygnie w żyłach, chwilowo pozostawiając mnie w trybie stand by, oczekującą na kolejne zadanie. Jestem gotowa. Próbuję zaoszczędzić czas, jednorazowo przenosząc z auta wszystkie torby z zakupami, przez co nieudolnie przekraczam próg, domykając drzwi nogą. Po prawej mijam lustro, w które po pracy już nie zaglądam. Wydaje mi się, że wystarczająco znam swoje kontury, a zagłębianie się w widoczne znaki czasu nie napawa mnie strachem, ale nie sprawia też przyjemności. Przekornie twarz rodzica jest pierwszym, najciekawszym obiektem zainteresowania naszych dzieci, doskonalących swoje umiejętności poznawcze i społeczne interakcje. Znają nas lepiej, niż my sami, intuicyjnie odczytując nasze prawdziwe myśli i emocje, które czasem próbujemy zamaskować. Nie ukrywam przed nimi zmęczenia, ale szukam w sobie przestrzeni, aby z entuzjazmem okazać zainteresowanie trudnym zadaniem z treścią, premierą napoju owocowego promowanego przez znanego nieznanego mi youtubera i wyczerpanym czarnym wkładem do długopisu, potrzebnym na jutro. Nieśamowicie satysfakcjonujące rodzicielstwo pochłania na dobranoc resztki moich



energetycznych zasobów, pozwalając jeszcze ostatkiem sił wybrać program załadowanej do pełna zmywarki.

Zmieniam tryb. Jednocześnie odłączając wszystkie kończyny, zasilam umysł dawką cudzych doświadczeń i obrazów świata, spisanych niepowtarzalnym kodem stworzonym przez ulubioną pisarkę. Jeszcze chwilę powalczę z chęcią na kostkę czekolady, z nadzieją, że się tak łatwo nie poddam. Świadomie uwalniam w żytach bezsilność, która, rozlewając się, daje mi ukojenie chwilę przed snem. A może będę niepoprawna i nie umyję dziś zębów? Kto mnie sprawdzi?

To właśnie ja, próbująca wyjść z twarzą z każdego unikatowego związku towarzyszących mi emocji i zachowań. Oczekiwanie od siebie jednolitości jest nierealne, a jednocześnie wcale nie oznacza odgrywania obtudzonych ról napisanych przez społeczne schematy. Z wyjaśnieniem najbliższej mi do japońskiego powiedzenia, które tłumaczy tę ludzką naturę zachowaniem harmonii między reprezentowanym publicznie wizerunkiem, emocjonalnym obliczem odkrytym wśród zaufanych i tylko sobie znaną intymnością myśli. Dobrze zrozumiana idea trzech twarzy nie oznacza fałszywości, ale tłumaczy kompletność ludzkiej natury, jej adaptacyjne umiejętności i bogactwo, któremu nie mamy czasu się przyjrzeć. A wystarczy zdobyć się na odwagę i choć na chwilę wyłączyć w sobie maszynę rutyny i codzienności.

AGNIESZKA ZATYLNA: polonistka, bibliotekarka, arteterapeutka. Na co dzień szuka niekonwencjonalnych pomysłów, aby zachęcić uczniów do rozpoczęcia przygody z czytaniem. Te działania zostały wyróżnione: dwukrotnie przez fundację Cała Polska czyta dzieciom oraz nagrodą Matego Zwyrtały na Międzynarodowym Festiwalu Literatury dla Dzieci w Rabce. Uczestniczka zajęć literackich Padok Pegaza.

SŁUBICE

Jerzy Fryckowski

1

Mały pokój służbowy na pierwszym piętrze poczty
gdzie wszy po uprzednim wyłowieniu gęstym grzebieniem
zabijało się paznokciami bez nadziei odzyskania własnej krwi
rozmazanej na kartce z zeszytu ulubionej matematyki

to w tym budynku z czerwonej wypalanej cegły
nigdy nie zgadzały się słupki zadane do domu
z prognozami pierwszych stron gazet

nie było podwórka i żadnego trzepaka
który dałby się zamienić na bramkę
sportowe ćwiczenia na wysmołowanych słupach pod telefoniczne druty
po każdym upadku kaleczyły kolana
i nie pachniały nadzieją na elektryczność

2

Kiedy już dostaliśmy pokój z kuchnią na Daszyńskiego 22/7
podwórko od dawna było podzielone między trzy państwa
Polskę Czechosłowację i NRD
rozrysowane patykiem na dziesiątki tras
między Warszawą Berlinem i Pragą
to tu uczyliśmy się czytać drukowane litery
z Trybuny Ludu Rudego Prawa i Neues Deutschland
niełatwo było zostać Jankiem Kudrą lub Magierą
trzeba było umieć palić papierosy
i wykradać z domu swojskie wino dla chłopaków ze starszych klas
Algierczykiem El Faruki mógł zostać każdy
i wygraniem etapu doprowadzić do sensacji
a wieczorem ukraść pocałunek Hance
która nosiła najkrótsze spódniczki chociaż nogi miała najdłuższe
pinezki rozsypano nam dużo później

3

Pierwsza śmierć jak zwykle przyszła niespodziewanie
miała obandażowaną głowę Janka Pisarczyka
i rzuciła panikę na wszystkich strzelających bramki z główki
to on jako jedyny miał węgierkę nazywaną w innych regionach biedronką
kosztowała 318 złotych które ukradł z kieszeni
matczynej płaszcza schowanego w szafie trzydrzwiowej

na naszym małym trójkątnym podwórku
stworzyliśmy własny język migowy by pytać czy boli
i kiedy wróci do nas na kolarskie trasy

Do zimy było daleko ale szyba za którą siedział
pokrywała się szronem jego oddechu
rozgorączkowanymi palcami rysował przyszłość
wybierał imiona naszych żon i daty rozwodów
potem pozwolił się pochować

nie wszyscy poszli na jego pogrzeb
choć księża było więcej niż nauczycieli
bo tak zawsze jest u ministranta

konkurencją był kolejny odcinek Marka Piegusa

4

Kiedy na naszym boisku zaczęto budować kottownię
próbowaliśmy pojąć na czym polega sprawiedliwość
więźniowie budowlancy uczyli nas wykonywać biżuterię
z mosiężnych śrub i końcówek szczoteczek do zębów
za kilka kanapek mogliśmy się chwalić rodowymi sygnetami
a ulica Daszyńskiego przestawała być ulicą na Ziemiach Odzyskanych
zaczynała być ulicą na Ziemiach Utraconych
nocami podsadzani przez starszych kolegów
zmienialiśmy kredę końcówki na niebieskich tablicach
z Orzeszkowa na Orzeszkowej z Armii Czerwonej na Armii Krajowej

To właśnie wtedy nauczyliśmy się jeść kredę
tylko po to aby się nie przyznać
aby nie donieść bo nie wypadato

wolno było powoływać się na zwapnienie kości

5

Witamin brakowało nam zawsze
choć o szkorbut ocieraliśmy się tylko w podręcznikach historii
i opowieściach najstarszej nauczycielki która przeżyła Oświęcim
nie gubiąc okularów i języka jakiego teraz próbowała nas uczyć

Nocami chodziliśmy na pachtę i nic tak nie smakowało
jak rzodkiewka czy kalarepa z odrobiną ziemi odzyskanej po raz kolejny
piasek zgrzytający w zębach zamieniał się w iskry
jak spod kopyt koni Sobieskiego gdy obronił Wiedeń
ale my nie zostawialiśmy złotych podków
gdzieś w piasku rysowały się ślady trampek
które posterunkowy Kapica gubił na tące
gdy mgła zabijała w nim poczucie obowiązku
a budziła zwykłą ludzką uczciwość

6

Rodzice pozwalali nam wybiec tylko w jedną noc
gdy niemiecka straż graniczna strzelała w sylwestra rakietami
które opadały na spadochronach powoli jak nasze marzenia
i parząc palce dawały nadzieję na spełnienie
bo inne gwiazdy spadać nie chciały
a o sierpniowych Perseidach nas jeszcze nie uczono

Odra robiła się czerwona jak nasz ustrój
ale tej magicznej nocy nie porywała nikogo
dosłownie ani w przenośni

7

potem nadeszła ta noc kiedy zachwiało się podwórko
czołgi długo szorowały kostkę
zdezorientowane dżdżownice piękne czerwone i mokre rosówki
same wchodziły nam do pudełek po zapałkach
przed mostem na Odrze długa kolejka wzajemnej pomocy
nasze dziecięce dłonie wędrowały pod plandeki amfibii
i pomocniczych pojazdów ale zamiast wojskowych skarbów
złoty naboju srebrnych łusek brązowych krzyży zastugi
natykaliśmy się na czerstwy chleb i suchary
których miało starczyć do mostu Karola

do skrzyżowania na którym w pamięci czeskich kibiców
wciąż jeszcze płonął Jan Palach

8

Gwiazdy szeryfa nie były drogie
można je było co tydzień kupić na targu
lub wygrać w objazdowej strzelnicy

skalpów jednak nie sprzedawano
musieliśmy je zdobywać na dziewczynach z podwórka
w których potajemnie się podkochiwaliśmy
a one pozwalały się przywiązywać do urodzajnych grusz
i w ten zaczarowany sposób rosły im piersi
wszelkich kształtów niepojętych
nabywały od kory płodności
na wszystkie dorosłe lata
z nadzieją że telewizja przestanie kłamać
straszyć dwudziestym stopniem zasilania

usypiać płaczem towarzysza Wiesława

9

na podwórku rości pięć drzew owocowych
grusze to były dwa słupki
strzeliliśmy setki bramek a szybę wybiliśmy tylko raz
gdy Marek Świder kopnął piłkę do swojego pokoju
nikt z nas już do końca swoich dni
nie przeproszał tak kobiety jak wtedy jego matki
która zawisła śrubokrętem nad gumową piłką.

Dzisiaj to niewielki trójkąt jak porażka w grę *państwa miasta*
tak mały że swoje dominia wykreślilibyśmy zwyczajną finką
kuchennym nożem ukradzionym matce przed krojeniem wigilijnej ryby
syczorykiem którym ojciec strugał sptałwiki z kory

Polbruk rozjechał potowę boiska ocalały tylko grusze
dwóch jabłoni i wiśni która karmiła mrówki żywicą już nie ma
jest trzepak który pasował jak kwiat do kożucha
gdy naszych rodziców nie było stać na dywany
a czeskie kryształki dostawali tylko w pracy za wystugę lat

Po drugiej stronie ulicy
 budynek posterunku nadal wypina pierś
 i jest spotkaniem trzeciego stopnia dla meneli

Rury ciepłownicze szpecą nasze wszystkie wspomnienia
 dają ciepło tylko tym bez adresu
 bez kosmyka kobiecych włosów w portfelu

Znak drogowy boli jak senny koszmar
 zakaz wjazdu
 droga jednokierunkowa

10

do kościoła mieliśmy daleko
 ale można było tam trafić po szynach których nie ukradli Rosjanie
 po drodze rozlewiska Odry bogate w szczupaki
 wystarczył leszczynowy kij z przydrutowanym na końcu widelcem
 by wygrać wędkarski pojedynek
 z ojcem chuchającym w zmarznięte dłonie nad przereblem

troskliwe matki odpuszczają nam pierwsze grzechy zaniechania
 ksiądz bił kluczami i rzucał kredą za nieobecność na niedzielnej mszy

a my szukaliśmy Boga w podziemiach kościoła
 wierząc że przecież musiał zostać tu zakopany
 skoro nie chcą nam Go teraz pokazać

JERZY FRYCKOWSKI: poeta. Emerytowany polonista z Dębnicy Kaszubskiej. Urodzony w Gorzowie Wielkopolskim. Poczyty w Zielonej Górze. Stąd rozdarte kibicowskie żuźlowe serce między Stalą Gorzów a Falubazem Zielona Góra. Młodość spędził na Ziemi Lubuskiej. Wiersze zaczął pisać w Słubicach. Miłośnik psów i muzyki rockowej. Wydał 21 tomików, 3 antologie (w tym pierwszą w Polsce *Antologię wierszy o ojcu On też jest tylko jeden*, dwa wywiady rzeki z Markiem Wawrzekiewiczem i Martą Fox.

W POCZUCIU STRACONEGO CZASU

Maria Borcz

homo urbanus

urbanizowany
w zurbanizowanym mieście
przemierza

wzdłuż krawężników
od n-tej
do n-tej alei

wiatry tarmoszą
płaszcz
przenikają do szpiku

zrzucają na barki
kottuny z warkocza
losu

kradną oddech
i poglądy
na poczet układu

urbanus chroni się
w labiryncie
intelektu

fermentuje
nabiera mocy
toczy bój

przeciąg czasu
wciska w kanał
cementuje usta

światło

wnika w wodną
przestrzeń

wiatr rozmiata po tafli
by nie dotarło

do głębi
do sedna

tam ściana
w niej szczelina

jak *ucho igielne*
przez nią przecisnie się

tylko skrucha i żal
w poczuciu

straconego czasu

to nic

że oddycha
tylko respirator
najważniejsze
jest niewidoczne

opuściła ciało
ale ty mów
do niej
zna język miłości

potężniejszy
od śmierci
ponadczasowy
kod

ona mówi
do ciebie
ustyszysz ją
w ciszy

ponad zmysłami

MARIA BORCZ: poetka, pisarka, członkini RSTK. Debiutowała tomikiem wierszy *Tęczowa zabawa* (2007), kolejne tomiki to: *Najeżona oczywistość* (2009), *Gałązka jaśminu* (2010), *Bidul* (2011), *Z katuży miasta* (2012), *Spopieleni* (2014), *Światłocienie* (2014), *Zabłąkani we mgle* (2015), *Mikrochaos* (2016), *Duchowy kanibalizm* (2017), *W hotelach świata* (2018) i *W gąszczu niebieskich migdałów* (2022). W 2023 roku ukazał się zbiór wierszy *W pułapce miejsca i czasu*.

TEN, KTÓRY PAMIĘTAŁ ZA INNYCH, CZYLI GDY ŚWIAT JEST OFF

Maciej J. Dudziak

Foto: G. Kostkiewicz-Górska



W pokoju kamienicy przy Gorzowskiej, gdzie powietrze gęstniało od listopadowej wilgoci, a tynk odklejał się od ścian jak dawno zapomniane wspomnienia, chrome manekiny przy pękniętych filizankach zaczynały mówić. Ich głosy były szkliste i matowe zarazem, jakby ktoś przestawiał starą płytę gramofonową z opowieścią, która się już kiedyś wydarzyła – może nie tu, ale w innym pokoju, w innym mieście, które dziś nosi zupełnie inne imię.

Bo wszystko, co nieopowiedziane, domaga się opowieści. Jak rana, co szuka języka, by zapłakać, jak kurz, co wiruje tylko po to, by wreszcie osiąść na jakimś wspomnieniu. A wszystko, co zamilkło, domaga się głosu – nie donośnego, nie teatralnego, lecz tego najcichszego, który przypomina oddech matki, bicie starego zegara w kuchni, skrzypnięcie drzwi, które już nikogo nie witają. Czasem to głos manekina, którego nikt nie zaprojektował do mówienia, ale który zbierał przez dekady szept historii na swojej wypolerowanej piersi z bakelitu. Czasem to szept ptaka, który krąży nisko, tuż nad dachami, jakby chciał coś wykrakać, ale jeszcze nie wie co. Czasem to trzask filizanki, tej jednej, pękniętej, lecz nigdy nie rozbitej do końca, co trzyma się blatu jak paznokieć starej kobiety – niepiękny, ale nieustępliwy. Jak resztką pamięci o świecie, który był. O świecie, którego już nie ma, i którego – mimo całej naszej pamięci – nie potrafimy już opowiedzieć, bo każde słowo zniekształca, każde zdanie jest zbyt późne, a każde milczenie zbyt prawdziwe. I dlatego właśnie manekiny szepczą, a my słuchamy. Choć nie jesteśmy pewni, czy to jeszcze język, czy już tylko echo.

Szeptaly opowieść o Panu Zbigniewie – nieśmiało, z szacunkiem, z nutą dziecięcego podziwu, jakby każde wypowiedziane przez nie imię, każda sylaba jego historii mogła na nowo przywrócić go do świata ludzi, choćby tylko na chwilę, na czas dziadów. Mówiły o nim nie jak o człowieku, lecz jak o zjawisku – jak o wietrze, co przegląda archiwa, jak o dtoni, co z czułością dotyka pęknięcia w murze, by zrozumieć, nie naprawiać.

„To on nas pierwszy usłyszał” – szeptaly – „gdy wszyscy inni milczeli lub śmiali się ze starych szmat i zgubionych nazwisk”. To on nauczył, że każde miejsce ma swój grzbiet – jak księga – i że trzeba umieć go dotknąć, by zrozumieć, co w nim pęka, a co przetrwało.

Dlatego w listopadowe wieczory, gdy wszystko krzepnie w zimnie, a pamięć znów wychodzi na ulice w postaci zniczy i duchów, manekiny – strażniczki rzeczy, które nie przestały być – tańczą swój szeleszczący taniec pamięci. A pośród nich kroczy Pan Zbigniew, uśmiechnięty, w płaszczu ze wspomnień, z notatnikiem pełnym cudzych historii i własnej czułości.

To, że nasze miasto, jak stara muszla wyrzucona na brzeg dziejów, zaczęło się otwierać – nie gwałtownie, nie z hukiem, lecz jak powolne, niedowierzające rozchylenie wieka szkatułki – to zastuga Pana Zbigniewa. On pierwszy otworzył się w sobie. Niczym demiurg

lokalnej pamięci, cierpliwy jak introligator starodruków, przesuwając palcem po liniijkach zapomnianych dokumentów, z których nie wyłaniały się wielkie nazwiska, lecz imiona sąsiadów, majstrów, piwowarów, stelmachów, kobiet w chustach i dzieci z warkoczami. Nie szukał mitów, tylko ludzkiej temperatury codzienności.

Zbigniew był nie tyle kronikarzem, co medium – przez niego mówiła cegła, której ktoś dotknął przed stu laty. Przez jego notatki przechodziły zapachy wypieków z niemieckiej piekarni, echo modlitw z domowej kapliczki Mazurów, gwar robotników z cegielni na obrzeżach Vietz. Jego opowieść była jak mapa zarysowana nie drogami i granicami, lecz westchnieniami, przekleństwami, piosenkami. Zamiast dat – rytmy. Zamiast bitew – ogrody. Zamiast pomników – klatki schodowe.

To nie była historia przez duże „H”, która miażdży znaczeniem. To była historia krucha, rozbita na odłamki filiżanek, skrzypnięcia desek, stare znaczki w szufladach i zapiski o przetworach na zimę. W tej opowieści każda piwnica była archiwum, a każdy człowiek – czy Niemiec, czy Mazur, czy przesiedleńiec z Drohobycza – stawał się księgą, do której trzeba było znaleźć klucz, ale najpierw – zaufanie.

I ten firtel warciańsko-odrzański, zasnuty mgłą z lasów, przecięty promieniem późnoletniego słońca, dźwięczący echem dziecięcych głosów – ożywał. Bo ktoś, kto potrafił słuchać, zaczął mówić. Nie po to, by zagłuszyć innych, ale by razem z nimi zbudować harmonię różnic. Pan Zbigniew wiedział bowiem, że jedyną drogą do zrozumienia świata jest rozmowa. A żeby do niej doszło – trzeba najpierw zrozumieć siebie. Wtedy możliwe staje się wszystko – nawet wspólna pamięć.

Był człowiekiem pomiędzy. Jakby utkany z nici wielu światów, z nici rwących się i ponownie wiązanych, poprzecieranych przez czas i ideologie. Sam o sobie mówił z przekąsem, że jest niewierzącym chrześcijaninem – paradoksalnym wyznawcą mitu, który już dawno rozpadł się w rękach jak stare kadzidło. Ale to właśnie w tym paradoksie, jak w splekanym lustrze, odbijała się cała jego droga. Siegał pamięcią do lat 30., do czasów, gdy wszystko miało jeszcze pozór sensu, gdy świat był w miarę poukładany według rangi: ksiądz, wójt, nauczyciel, ojciec. W tym porządku był harcerzem – gorliwym, oddanym, zaplątanym w biało-czerwone wstążki idei, które z biegiem lat zaczęły pękać jak zbyt ciasne buty.

Przeżył wojnę. Przeżył ją oczami chłopca i ciałem, które rejestrowało więcej niż rozumiał. Dłonie pamiętały głód. Oczy pamiętały dym. Uszy zapamiętały ciszę po strzale. Po wojnie – odmiana. Komunizm nie przyszedł w fachuśnicach tyrana, lecz w płaszczu opiekuńczego ojca. Praca, alfabet, nowe okna w starych domach. Wydawało się, że to działa, że magia rewolucji, choć brutalna, może być uzdrawiająca. Uwierzył – nie jako fanatyk, lecz jako ktoś, kto widział śmierć i teraz widzi chleb.

Ale szybko odkrył, że ten chleb ma cenę. Że zamiast głodu przyszedł strach, zamiast śmierci – knebel. Pieśń ustępuje miejsca kadrowym raportom, a sztandar – donosowi. Socjalizm okazał się nową twarzą nacjonalizmu: z innymi słowami, ale tym samym mechanizmem – wykluczania, milczenia, ujarzmiania. W 1968 roku, gdy ostatnie resztki żydowskiej obecności były brutalnie wyrzucane z Polski, stanął po stronie tych, którzy nie mieli już gdzie się zwrócić. Użył swego imienia, swej pedagogicznej pozycji, by powiedzieć „nie”. W zamian dano mu nieistnienie. Zepchnięty, przemilczany, wykreślony z podręczników. Jego pedagogika – czuła, obecna, otwarta – została uznana za niebezpieczną, zbyt ludzką.

– Przed wojną miałem kolegów Żydów z podwórka – powiedział. – Może mieli na imię Lejb, może Henoch, może Zyskind. Graliśmy w kapsle i kręciliśmy bączki, ich mamy

dawały nam ciastka z miodem. I potem zniknęli. A my milczeliśmy. Bo co można było powiedzieć, gdy znikali ludzie, a na ich miejsce przychodziła pustka, którą usiłowano zapętnić nowym ładem i nową retoryką?

Nie mógł patrzeć biernie. Gdy w 68. roku państwo polskie – to samo, które przez dzieściolecia karmiło się mitem ofiary – zastosowało te same mechanizmy, co przed nim państwo nazistowskie. Pozbawiano obywatelstwa, odbierano mieszkania, książki, nazwiska. Pociągi ruszyły znów. Nie z Treblinki, nie z Bełżca – ale z Dworca Gdańskiego. Ludzie jechali nie do pieców, lecz do pustki. Do „nigdzie”, które tak łatwo wchodzi w miejsce ojczyzny, gdy ta odmawia ci prawa do istnienia.

Mechanizm był ten sam: uczynić obcego. Odciąć korzenie, wycyścić nazwiska, wypruć język z godności. A spotęcherstwo – to sfinksowe słowo pokryte brudem tysiąca użyć – milczało. Albo mówiło półgębkiem: „trudno, jakoś to będzie.” Bo była wódka. Bo była kiełbasa. Bo był festyn. Bo były zakładowe wczasy i pochody pierwszomajowe. Bo można było nie myśleć.

I tylko ci, co pamiętali dzieciństwo i bączki na podwórku, i ciasteczka z miodem, i głosy, które zamilkły nagle – tylko oni wiedzieli, że historia to nie spektakl. To nie przemarsz flag. To nie dekoracja. Historia to cichy dźwięk zatrzaszkujących się drzwi. Raz. Drugi. Trzeci.

A potem zostaje tylko echo. I pytanie bez odpowiedzi: co zrobicie, kiedy znów ruszyły pociągi?

Z komunizmu wyleczył się nie przez ideologiczny spór, ale przez doświadczenie zawodu. Jak z chorej miłości – tej, która na początku obiecuje wszystko, a później zostawia z siniakiem na duszy. Został człowiekiem bez etykiety. Nie „za”, nie „przeciw”. Tylko „między”. A może „pomimo”. Nosił w sobie nieskończone archiwum losów, imion, spojrzeń. I wiedział jedno: każda wielka idea, która nie widzi człowieka, staje się narzędziem przemocy. A jedyną prawdziwą wartością, jedyną lekcją, która naprawdę się liczy – jest wierność drugiemu. I odwaga, by stanąć tam, gdzie biją.

Gdy wrócił do Witnicy – miasteczka otulonego mgłą, w której splecione były liście dawnych epok i sadze z kominów realnego socjalizmu – nie zastał już miejsca, które znał. Ale też nikt go już nigdzie nie zastawał – wciąż był pomiędzy, zawieszony jak firanka w oknie historii, które raz trzaskało od przeciągu dziejów, raz uchylało się, wpuszczając promień niepewnej nadziei.

W niedzielę wstawał pierwszy. Choć sam nie wierzył, wstawał, by młodzież mogła pójść do kościoła. Nie kazał – pozwalał. Nie tłumaczył – umożliwiał. I właśnie to, co ciche, to, co „po cichu” się działo, budziło największy niepokój. Bo nie był już „ich” – dawnych towarzyszy z czerwonego notatnika, którzy zaczęli mówić cicho, jakby bali się własnych wspomnień. Nie był też „nasz” – opozycji, która chciała jasnych deklaracji, barw, emblematów. „Z nami czy przeciw nam?” – pytali go z obu stron. A on nie odpowiadał.

Bo jak miał odpowiedzieć, skoro sam od lat szedł ścieżką pomiędzy: ani tak, ani nie – tylko „być”, „działać”, „słuchać”. Tak rozdził się jego bunt. Bunt codzienności. Bunt przeciw konieczności wyboru jednej przynależności, jednej opowieści, jednego języka.

I może właśnie dlatego mówili o nim manekiny – bo rozumiali, czym jest stanie w tym samym miejscu, z otwartymi oczami, z niemożnością krzyku, ale i z niegasnącą gotowością, by słuchać.

Coraz bardziej jednak zajmowały go sprawy związane z dawnymi mieszkańcami naszego miasta – tymi, którzy odeszli nie z własnej woli, wypchnięci przez wojnę, ideologię, nowe nazwy ulic i języki, które nagle przestały pasować do krajobrazu. Ale zajmowały go też sprawy tych, którzy przyszli później – z walizkami, ale też z milczeniem, którego nie dało się zapisać w żadnym urzędowym protokole.

Z tego wszystkiego – z przedmiotów, wspomnień, niespełnionych losów i zapomnianych historii – stworzył muzeum. Nie gmach, lecz przystań. Tam, gdzie niechciane rzeczy po dawnych mieszkańcach – porcelanowy piesek z witraży, makatka z haftem „Gott mit uns”, fragment modlitewnika – znalazły swoje miejsce wśród innych: kłódek z obozu, dziecięcych bucików z wagonu, zblakłych fotografii. Rzeczy, które kiedyś coś znaczyły i znowu zaczęły znaczyć – nie tylko dla tych, którzy je przynieśli, ale dla każdego, kto umiał patrzeć.

Stworzył też park drogowskazów. Prawdziwy i metaforyczny. Taki, który nie wskazywał wyjątknie kierunków geograficznych, lecz także wewnętrzne. Pokazywał, jak ta mała łupinka miejska – zawieszona gdzieś między Odrą a Wartą, między pamięcią a zapomnieniem – sadowiła się w świecie.

Pan Zbigniew zburzył mur. Mur, który nie miał cegieł, lecz był zbudowany z milczenia, z niewiedzy, z półstówek i przekłamań. Mur, który każda ideologia z zapętem wznosi, karmiąc się podziałem i uprzedzeniem. Jak wielki architekt – bez kielni, lecz z piórem i uważnym spojrzeniem – zaprojektował od nowa ten mikroświat. Taki, który nie potrzebował wielkich pomników ani sal kongresowych. Wystarczył park. Park z drogowskazami pamięci, z tabliczkami historii, z miejscami, które odzyskały swoją nazwę i sens.

– To jest moja zemsta historyka – mówił z przekornym błyskiem w oku, w którym przeglądały się dekady. – Nie na kimś, ale za coś. Za przemilczenia, za wymazania, za tę uparcie konserwowaną niepamięć.

Bo żeby przejść przez jego park, trzeba się zatrzymać. Nie da się go przebiec. Nie ma w nim tras dla pośpiesznych. Trzeba stanąć i przeczytać, że tutaj stał młyn, a obok był browar. Że w tej kamienicy mieszkał lekarz, który opatrywał wszystkich – bez względu na język. Że ta droga prowadziła kiedyś do pałacu, w którym przy herbacie rozmawiano o Kantowskiej etyce.

To park, który nie mówi „witajcie”, lecz „zatrzymajcie się”. I właśnie dlatego działa. Bo każde zatrzymanie to już początek rozmowy z przeszłością.

Chodnik ten był jak palimpsest: natożone na siebie warstwy znaczeń, wydeptane przez różne pokolenia, których losy skrzyżowały się na tej prowincjonalnej ziemi. W tej ścieżce mówiła sama Witnica – nie jako miasto, ale jako punkt przecięcia. I to, co najprostsze – granit, litera, cień stopy – stawało się najgłębszym doświadczeniem wspólnej historii.

To była lekcja. Pierwsza. Zawsze ta sama: lekcja chodzenia po pamięci.

Tego nie dało się opowiedzieć do końca. Bo czas, którego dotyczyła ta instalacja, nie miał końca – był jak wiatr zaplątany w konarach, który raz cichnie, raz wraca, niosąc kurz nazw zapomnianych i tych, które dopiero czekają na odkrycie.

W jego opowieści nie było polityki. Była geografia dusz. Bo dusze mają swoje punkty na mapie. I wtedy zrozumieć można było, że te chodniki nie prowadzą nigdzie konkretnie. One prowadzą w głąb – w głąb miejsca, w głąb siebie.

Z biegiem lat, gdy granice stawały się coraz bardziej przejrzyste, a paszport tracił swoją dawną magiczną moc władzy i wykluczenia, Pan Zbigniew spoglądał na świat z rosnącym dystansem – nie chłodem, nie obojętnością, ale tą szczególną formą czułości, jaką rezerwuje się dla rzeczy naprawdę ważnych. Jego Europa nie była Europą szybkich pociągów i tanich lotów. Nie była wspólnotą przepisów i jednolitego rozmiaru bananów. Była Europą powolnego, mozolnego dialogu między tym, co było a tym, co ma się dopiero wydarzyć.

W jego działaniach było coś z rytuału, coś z liturgii pamięci. Nawet sprzątanie – jeśli się już odbywało – nie było odświętną kampanią z workami i wodą mineralną, ale symbolicznym aktem przywracania porządku rzeczy – jak zdejmowanie kurzu z zaginionego przedmiotu, który okazał się świętością.

Nie działał, by działać. Nie uczestniczył, by zaistnieć. On po prostu był – jak zegar w starym domu, który nie mierzy czasu, ale świadczy o jego istnieniu. I jak ten zegar, choć czasem wydawał się powolny i staroświecki, to właśnie on regulował rytm miejsca. Wskazywał, gdzie bije serce miasta.

W przypadku Pana Zbigniewa nie było przypadków. Każdy gest, każde słowo, każde działanie – jak litera w misternej frazie – było częścią większej opowieści. Program, który realizował, nie przypominał programów partyjnych ani gminnych, nie dał się wpisać w kolumny tabeli ani ująć w grantowym języku. Był to program duszy – skierowany do siebie i ku sobie. Ku człowiekowi jako istocie z pamięcią i z ciałem, ku miejscu jako przestrzeni nawarstwień, ku przeszłości, która nie była miniona, i ku przyszłości, która bez tej przeszłości byłaby niema.

„Nigdy więcej” – mówił często, a zaraz potem dodawał: „choć wiem, że słowo nigdy jest zbyt lekkie, zbyt przemiewne, zbyt nadużywane, jak flaga, którą przykrywa się ruiny”. Wiedział bowiem, że historia jest jak wiatr: wieje, gdzie chce, unosi śmieci i relikwie, a czasem wciska się przez najmniejszą szparę w ścianie domu, który miał być bezpieczny. Ale to właśnie dlatego robił to, co robił: opowiadał, przypominał, prowadził, żeby choć na chwilę ten wiatr przytrzymał, żeby zdążyć zastonić pamięć przed rozproszeniem.

Zamieszkał symbolicznie (lub też nie) – jakby z premedytacją (lub też nie) – na krótkiej ulicy z rybą w nazwie. Ryba: pradawny znak rozpoznawczy chrześcijan, znak milczący, znak tajemnicy, znak ludzi, którzy istnieli pomimo. To właśnie tam, pod numerem wytartym już przez deszcze i słońce, żył i pisał swój własny apokryf historii. I to właśnie na tej ulicy – a może tylko uliczce, zakamarku świata – mieściła się przed laty siedziba miejscowego Hitlerjugend. Zbieg okoliczności? W żadnym razie. Te dwie obecności, dwa ślady, jak przeciwwagi w symbolicznym wahadle dziejów, mówiły wiele. Jakby sam los – ironiczny, czasem okrutny, czasem czuły – powiedział mu: tu zamieszkaż, tu ukorzeń się, tu wypowiedz swój sprzeciw i swoje przebaczenie.

Bo miejsce to nie tylko punkt na mapie, ale punkt widzenia. A ulica z rybą – niby niewiele znacząca – stała się punktem przecięcia wszystkich wektorów jego opowieści: o pamięci, o winie, o przebaczeniu i o odpowiedzialności. I wszystko, co tam robił – każde słowo wypowiedziane młodzieży, każda lekcja historii zaczynana od chodnika, każdy przedmiot ocalony od zapomnienia – było jak kamyk w fundamencie innego świata. Świata, który miał być bardziej czuły, bardziej świadomy i bardziej odporny na wirus obojętności.

Walczył z redukcją wszystkimi siłami, które mu zostały. Poprzez rozmowę. Poprzez tekst pisany piórem, nie klawiaturą. Poprzez spacer z uczniami przez park drogowoskazów, gdzie każde miejsce miało swoje imię i swoją opowieść. Bo wiedział, że tylko taka pełna, złożona narracja – w której pamięć i teraźniejszość, ból i pojednanie, dom i wypędzenie splatają się w opowieść o człowieku – może przeciwstawić się tej śliskiej, gładkiej powierzchni nowego świata, która nie zostawia miejsca na cień.

Razem ze zredukowaną wersją świata, którą niczym nieproszoną falą przywiało z kontynentalnej wersji naszego kraju – tej, która zawsze chciała być bardziej „europejska” niż Europa i bardziej nowoczesna niż potrzeba – przyptynęli jej reduktorzy: przebrani za bardów, choć śpiewali do basu plastikowego rytmu, nie do strun duszy.

Buntował się. Buntował się nie młodzieńczym gniewem, ale głęboką odmową bycia zredukowanym do starszej anegdoty. Nie chciał być zepchnięty do roli dziadka opowiadającego o tym, jak to było „na kompanii”, podczas gdy wnuki wpatrzone w ekrany z grzeczności kiwały głowami. Odrzucał tę wersję starości, która jest tylko echem, puszczonej na głucho ściany, odbijającym się od śmiechu niechcianej pamięci.

Cierpiął – nie fizycznie, bo z ciałem potrafił się już pogodzić, ale duchowo. Cierpiął na rodzaj samotności właściwy tylko tym, którzy niosą z sobą idee większe niż oni sami. To była samotność mistrza, którego uczniowie porozchodzili się po świecie, zapominając, kto pierwszy otworzył im drzwi. Ale on nie czekał na wdzięczność – chciał tylko, by ktoś słuchał.

I pisał. Jakby każde zdanie było kamieniem w mozaice sensu, której nikt jeszcze nie widział, ale którą on znał na pamięć. Wiedział, że musi ją zbudować – nawet jeśli nikt nie spojrzy. Bo to nie o patrzeć chodzi, ale o to, by nie pozwolić zamilknąć światu.

Wiedział, że świat brunatnieje – nie z dnia na dzień, lecz jak rdza, która najpierw pojawia się w najmniej widocznym miejscu, w zagięciu blachy, w myśli rzuconej półzartem, w spojrzeniu pełnym podejrzliwości. Wiedział, że to nie barwa polityczna, lecz stan ducha. Brunatnienie to rezygnacja ze złożoności, z wielogłosu, z cienia. To powrót do jednego tonu, jednej racji, jednej prawdy.

Lubił rozmawiać. Ale nie o tym, kto jest większym „debilem” w medycznym ujęciu, nie o rankingach ignorancji, nie o zestawieniach błędów i wypaczeń w formacie talk-show. Nie interesował go świat dostojników państwowych, w którym wszystko musi być nazwane, zaszeregowane, uznane za normę lub odchylenie. Taki świat cuchnęła mu stęchlizną – był jak piwnica, w której zamknięto myślenie.

On chciał świata wielobarwnego, migotliwego, w którym jedna opowieść odbija się w drugiej jak światło w szybie, a każda historia ma swoje „ale” i „być może”. Chciał świata złożonego – nie po to, by go komplikować, lecz by go oswoić. Bo tylko poznany świat przestaje być straszny. Tylko ten świat, który został wypowiedziany, opowiedziany i wystuchany, może być wspólny.

W takim świecie strachy i lęki – te upiory ubrudzone gnojem historii i popiołem czudnych ideologii – nie mają już przestrzeni do żerowania. Wciskają się wtedy w kąty kamienic, kurczą w ciemnościach, bo nie mogą żywić się już niewiedzą. A on, Pan Zbigniew, właśnie po to rozmawiał, pisał i słuchał – by tym kątom światła nie brakło.

Lubił czekać na swoich gości, z którymi podróżował po światach najbliższych na krześle. Oparty o mur ponieckiej pralni zamienionej na rowerowy skład rowerów mieszkańców jego kamienicy przy ulicy z nazwy chrześcijańskiej.

W tej scenerii, jakiej nie powstydziłby się najczulszy z kartografów snu, stoi krzesło oparte o mur dawnej pralni – teraz tylko z nazwy – stawało się wehikułem, środkiem transportu ku opowieściom. Tam, przy tym starym, metalowym siedzisku, z którego farba schodziła jak łuszczące się wspomnienie, Pan Zbigniew czekał. Nie z niecierpliwością, lecz z gotowością. Każdy, kto przyszedł, zostawał ugoszczony nie kawą, ale czasem – czasem, który tu gęstniał i opłatał jak dzikie wino winobluszczu wijące się po murach podwórka.

Krzesło to stało obok starej pompy – takiej, z której kiedyś czerpano wodę, ale teraz służyła bardziej pamięci niż użytkowi. Kto przysiadł, zostawał wciągnięty w podróż: bruk ścieżki stawał się mapą, ściany – scenografią. A on – siedząc z ramieniem opartym o metalową poręcz schodów – opowiadał. Głos miał niski, ciepły, z chropowatym ziarnem

melancholii, jakby cała ta ulica Rybacka, cała kamienica, wszystkie jej duchy i wszystkie manekiny zamieszkałe w piwnicach, mówią przez niego.

Bo to właśnie było miejsce nieoczywistej liturgii: liturgii spotkania. Miejsce przyjęcia. Każdy, kto tu trafił – z Berlina, z Poznania, czy z jego kamienicy – stawał się na chwilę częścią jakiegoś większego planu. Nie planu urbanistycznego ani ideologicznego, lecz planu opowieści, który można było rozwijać jedynie przez wspólne przebywanie. A ten bruk, ta rynna, ten cień winorośli, te schody prowadzące donikąd – wszystko to było ważniejsze niż gmachy muzealne czy sale konferencyjne.

Bo prawdziwa historia, mówił Pan Zbigniew, nie siedzi w podręczniku. Siedzi na krześle, przy murze, pod winoroślą. Czeka, aż ktoś usiądzie obok.

Ulica Rybacka znajdowała się niedaleko składu z manekinami – choć czasami miał wrażenie, że był tak odległy, jak inna epoka. Żeby tam dotrzeć, trzeba było przejść przez kościelny plac, który w zimowe popołudnia stawał się sceną nieruchomej liturgii cieni. Ławki, pnie drzew, kute ogrodzenie – wszystko zamierało w pozie zadumy. Plac, niegdyś pełen ludzi, śmiechu, dzwonów i procesji, teraz witał tylko szelest liści i stuk kroków. A potem wchodziło się w zaułek Sztukmistrzów.

To nie była zwykła ulica. Był to raczej korytarz pamięci, gdzie ściany szeptały stare opowieści, a kostki bruku ugięły się pod stopami, jakby znaty wagę każdego przechodnia. Niegdyś podobno mieszkał tu linoskoczek, który chodził nad dachami domów i zrzucił karteczki z życzeniami. Dziś zostały tylko ślady – w okiennych framugach, w rzeźbach podotłupywanych przez czas, w krzywych witrynach zamkniętych już sklepików. Każde z tych miejsc mówiło do przechodnia językiem cichym i zapomnianym, jakby przemawiały duchy rzemieślników, handlarzy i poetów.

Dziś krzesło na ulicy Rybackiej, oparte o poniemiecką ścianę, stoi puste. Jakby czekało. Jakby ta samotność była nie przypadkiem, lecz formą milczącej obecności. Nie przesiaduje już na nim Pan Zbigniew – z rękami splecionymi na kolanach, z kaszkietem zsuniętym nieco w cień czoła, z gotowością do rozpoczęcia opowieści od dowolnego punktu: brukowanej ścieżki, zapomnianego nazwiska, śladu po szyldzie.

Teraz krzesło jak figura bez ciała, jak pomnik bez tablicy, przypomina o tym, że miejsce mówi nadal. Ściana, o którą jest oparte – szorstka, szara, odrapana – pamięta rozmowy, które się o nią opierały. W murze z cegły kryje się zapis tamtych dni: nie dźwiękiem, lecz fakturą, zapachem starej zaprawy, chłodem cienia w upalne popołudnia.

Cisza wokół krzesła nie jest pusta. Jest pełna. Nabrzmiata nieopowiedzianym. I tylko czasem, gdy przechodzić przypadkiem na chwilę zatrzyma wzrok, wydaje mu się, że to krzesło – z tą swoją twardą stalową pokorą – lekko drga. Jakby chciało powiedzieć: „Usiądź. Posłuchaj. Jesteś w miejscu, gdzie świat jeszcze nie podzielił się na swoich i obcych. Jeszcze nie.”

Dr MACIEJ J. DUDZIAK: antropolog kultury, kulturoznawca i eseista. Specjalizuje się w problematyce tożsamości kulturowych w XX i XXI wieku, form wspólnotowych oraz kondycji kultury. Autor wielu artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książek, m.in. *Syberia, Poza życiem* (1999), *Pejzaże (po)granicza* (2007), *Hermeneutyka pogranicza* (2011), *Czytać Europę. Flaneur w ogrodach pogranicza* (2014). W 2019 roku ukazała się jego pierwsza powieść *Mesjasz. Rękopis zbrodni*. W 2021 roku Maciej Dudziak, bazując na notatkach Alfreda Szklarskiego, wydał 10. tom przygód z cyklu o Tomku Wilmowskim pt. *Tomek na Alasce*. W tym roku ukazała się jego powieść *Translandia*.

Monika Miłoś

OFF(last)ROAD

Teściowi

postanowiłeś umierać
akurat wtedy
kiedy my
chcieliśmy Cię jeszcze kochać

w sumie chyba wiedzieliś
że żaden moment
nie będzie odpowiedni

zawsze jest przecież
o życie za wcześniej
na śmierć
ale i o śmierć za późno

na życie

UmieraNie!

przeciekasz przez palce
palisz bolisz parzysz
jak воск

łzy
nie ugaszą Gaszonego

szepczę
Panu Bogu świecę
a (...) dla mnie (...) ogarek...*

mówisz
nie mam już siły

a ja myślę
Ty?

ty przecież TYLKO
umiera-asz/
-aż!

*fragm. przysłowia polskiego

gaśniesz
jak dopalona świeca

w pieluchomajtkach
wątła bezradność

pergaminowa skóra
walczy z naciskiem tóżka

przegra(na)

tak żal gasić światła
choć każda jasność boli

nie zasypiaj
proszę

jeszcze przyjdzie czas
gdy czasu już nie będzie

tylko nic

MONIKA MIŁOŚ: mieszkanka małej wsi w gminie Dobiegniew. Jej wiersze ukazywały się na łamach „Ziemi Strzeleckiej”, „Przypadku Literackiego”, „Czterech Zeszytów and after” oraz w dwóch antologiach poetyckich: *W rytmie poezji 2* i *Niosąc pomoc Olusiowi*. Laureatka szczebińskiego Turnieju Jednego Wiersza „Od Morza do Tatr”. W 2023 roku jeden z jej wierszy został wyświetlony na ścianie kamienicy na ul. Brackiej w Krakowie w ramach projektu „Wiersze na murach”.

JESTEM BOOGIEM... KU PRZESTRODZE – PRZYPOWIASTKA

Aneta Gzińska-Hwozdyk

To ja dałem im dystrykty. Pozwoliłem im na spotkanie się. I na miłość. Dzięki mnie mogli mieć psa, kota, a nawet krowę, kurę albo konia. Mogli budować budynki na swoich podwórkach. Bez ograniczeń. Na ile pozwalały im fundusze. Mogli powiększać rodziny. Mnożyć się i dzielić. Założyłem im staw. I zarybiłem. Wystarczyło zarzucić wędkę, aby od razu złapać rybę. Dzięki mnie każdy umiał nawet gwizdać. Po swoim, gdyż dałem im różne głosy. Pozwoliłem ptakom budować gniazda obok domów. Karmili ptaki ziarnem, które też im dałem. Stworzyłem im raj. Stworzyłem im. Stworzyłem ich.

Tymczasem... „Nie jesteś już Boogiem”.

„Twoje miejsce wkrótce zajmie Boog”.

Nie będą mieli lepszego Booga ode mnie.

Nikt odpowiednio się nimi nie zajmie.

Nikt nie będzie taki.

Nikt im nie da aż tyle.

Nikt nie będzie tylko dla nich.

I wcale „game” nie „over”.

Ciągle jestem w grze.

Widnieję nieustannie jako Boog.

Ale odebrano mi wszystkie booskie przywileje.

Będę obserwował, jak raj pogrąża się w nicość?!

– Tato, pobawisz się z nami w chowanego? Tato! Słyszysz? No pobaw się z nami!

– Nie teraz. Później.

Spróbuję im jeszcze wyprodukować pieniądze. Łatwo się je pozyskiwało. Kombinacja przycisków. Kilka altów. Trzeba wiedzieć. Ja wiem. Umiem. Stworzę im więcej pieniędzy. Pokażę, że mogę.

– Kto pierwszy się chowa? My? Ty szukasz. Trzeba liczyć do dziesięciu. Ale to za chwilę, bo najpierw musimy się schować. Już!

Jeden, dwa, trzy, cztery... Całkiem sprawnie mi to wychodzi. Góra pieniędzy, skoro nie potrzebują już mojego raj.

– Szukaj!

Ale co to? Znikają! Dopiero się pojawiały. Zmultiplikowałem. I już je tracę. Jakby nikt ich nie widział. Przepadają w nicość. Nie wiem, co się dzieje.

– Szukaj! Teraz musisz szukać, żeby nas znaleźć.

Tu miałem taką zakładkę. Taki schowek. Wstawiałem ikonki, żeby wiedzieć, co już mam w tym świecie. Co udało mi się stworzyć. Otwieram każdą po kolei. Moje zwierzęta. Moje ryby. Moje domy. Moje pieniądze. Schowek jest pusty.

– Nie umiesz szukać. Tato, no zaglądam wszędzie.

Pusto. Jakby nigdy nic nie było. A może ktoś mi wykradł? Włamał się i przejmuję to, co ja powołam do istnienia. Złodzieje cudzych światów. Cudzych żyć.

– Tato, a może pod kocem albo pod poduszką? Albo w kącie, za firanką? No baw się, tato!

Może w jakimś pomieszczeniu. Jakaś wskazówka. Jakiś punkt zaczepienia. Jakiś znak, że ciągle trochę jednak jestem Boogiem.

– To my teraz będziemy rysować, bo nas nie znalazłeś. Porysujesz z nami?

A może porysuję. Rysowane przecież też się stwarza. Rysowanie stwarza.

– Tato, to jest żółta kredka. Można nią narysować słońce.

Narysuję im słońce. Dodam chmury. Ale tylko takie drobne obłoczki, żeby nie mieli mi za złe, że tworzę im pochmurny dzień i nastrój. Na niebo mogę jeszcze wprowadzić ptaka. Element życia. Moje niebo jest małe niebieskie. Wymieszam błękity i będzie niecodziennie. Teraz jest idealnie.

– Tato, zobacz, jak narysowaliśmy. Widzisz? Pokaż swoją kartkę. Ale na twojej nie ma. Nie rysowałeś razem z nami!

Ale co to? Wszystko znika. Najpierw słońce, za chwilę błękit. Ginie ptak.

„Nie jesteś Boogiem. Nie jesteś Boogiem.”

No przecież jestem! Ciągłe jestem. Nie dam się zdetronizować. Nie pozwolę. Ikonki nie działają. Wszystko znika. Pozbawiają mnie nawet możliwości stwarzania przez rysowanie.

– Tato, ty nie umiesz rysować.

– Tato, Maks chce jeść! On dzisiaj jeszcze nie dostał śniadania.

A może wprowadzę do świata jeszcze więcej zwierząt? Spróbuję dodać każdemu po jednej krowie. Albo i konia, jeśli się uda. Lub choćby tylko kurę. Te zwierzęta pracują na właściciela. Kilka psów i kotów nic nie daje. Lepsze są krowy i konie oraz kury. Kurę stworzyć nie jest trudno. To było jedno kliknięcie. Już! Teraz dodaję kurę do właściciela. Kura jest mała. Będzie sporo pracy.

– Maks wyje! Tato, nie słyszysz? Co mamy zrobić z Maksem?

Psy dużo jedzą. Lepsze są kury.

– Tato, Maks zabrał moją kanapkę! Teraz ja nie mam co jeść na śniadanie.

Kury też znikają. Ludziom pustoszeją zagrody. I nie jest to moja wina. Chciałem stwarzać. Przez te kury, które nawet mi wychodziły, dano mi nadzieję, że jednak jestem Boogiem.

A jednak naprawdę się kończę.

Nie będą mieli lepszego Booga ode mnie.

Nikt odpowiednio się nimi nie zajmie.

Nikt nie będzie taki.
Nikt im nie da aż tyle.

...

Ciągle jestem w grze...

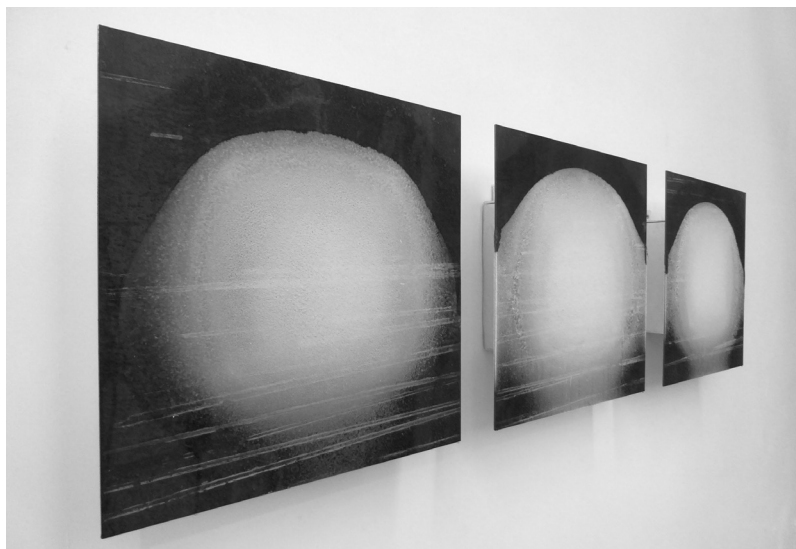
- Dlaczego nie wyprowadziłeś psa na spacer? Nie zaprowadziłeś dzieci do przedszkola! W pracy dzisiaj też nie byłeś?!
- Ciągle jestem w grze!
- O, tak, jesteś. Nie da się ukryć. Wyprowadź chociaż psa, zanim napaskudzi w przedpokoj.

I tak oto upadają królestwa, kończą się światy, umierają bogowie. Życiowa grawitacja codzienności przyciąga do świata.

Byłem Boogiem. Teraz nakładam zwykłe skarpetki, zniszczone buty, obserwuję porzucane kredki, zdrapuję z balkonowej podłogi kupę gołębia i wyprowadzam starego psa na spacer.

A byłem Boogiem. Mogłem wszystko...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).



Janina Jurgowiak

LATO

Bezsenne noce, upalne dni:
lipiec żarem dyszy.
W takie lato czytam
landrynkowe romanse.
Intelektu nie nadwerężam.

A słońce z dachu na dach,
z komina ponad topolę.

Smakuję cień pod lipami,
gdzie pachnie miodnym chłodem...
Zapach maciejki odurza.

– Gorące lato, trwaj jeszcze
i jeszcze, i jeszcze...

Lipiec 2015

POMILCZ ZE MNĄ

Pomilcz ze mną, Matko, o synach.
Twój był Bogiem,
mój nie taki święty,
ale równie cierpiący, że nie opowiedzieć.
Imieniem Twojego usta wycierają
jak miłości deklaracją,
mój – jeden spośród wielu –
uległ zapomnieniu.
Twój dusz tak wiele zbawił,
że nikt ich nie zliczy,
mój pozbawiony życia
zostawił mnie – matkę –
płaczącą pod ciężarem krzyża.
Pomilcz ze mną, Matko, o synach.

Przeżyliśmy razem tyle kalendarzy
zhardziłeś przy mnie
myślałeś że wiesz lepiej i ważyłeś się
sam ruszyć w drogę bezpowrotną
To nie było w porządku
nie zostawia się niedokończoną
opowieści
i żony na drodze

17. 04. 2024

ŚWIADECTWO

Patrzę na rozstrzelane świadectwo
brata, którego nie znałam:
bardzo dobry... postrzępiona dziura...
dobry, dobry, dobry.
Przeszedł do klasy trzeciej,
do której nie poszedł –
nie zdał do historii.
Niespełna dziesięcioletni
był dobry na tyle,
żeby po wakacjach prosto do nieba.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopiśmie i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.

Tomasz Korbanek

nostalgia

twarz szuka dłoni i błądzi
 w stukotach
 deszczu na szybach
 tuli strach do poduszki
 myśli
 – ćmy rozedrgane
 plączą się w fałdach
 beżowych załost
 wyrzucam z ust słowa
 na oślepe
 trafiają
 w próżnię
 drzwi do pokoju
 dzielą przestrzenie
 są
 dźwiękoszczelne

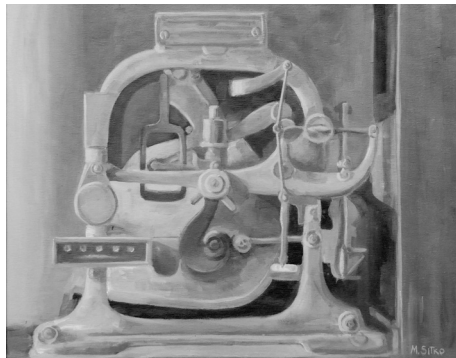
eden

może być w barwach świtu
 sonatach
 szpaków i drozdów
 w rytmicznym poszumie liści
 dzikiego bzu i czereśni
 taki na zawołanie
 na wyciągnięcie ręki
 ciekawej wrażeń i bodźców
 grzeje mnie ogarnia
 zmysły słoneczną aurą
 siedzę na ławce skąpany
 w zieleniach i amarantach
 jestem tu
 bezpieczny

chęć...

potożyć
 głowę na trawie
 przylgnąć do Ziemi
 ciężarem ciała
 oswoić lęk
 zwierzyć się Matce
 wonnej korzennej
 zharmonizować
 myśli z terkotem
 cykad w turzycach
 po cichu bez żalu
 z(g)asnąć

TOMASZ KORBANEK: poeta. Gorzowianin. Przez lata członek nieformalnej grupy Poeci Okrągłego Stołu. Zadebiutował w „Pegazie Lubuskim”, jego wiersze ukazały się też w antologii *Słowa rodzą wiersz* (2010). W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stołu*, ukazał się jego tomik *Krajobraz z brzozą*, a w 2024 roku – w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego – tomik *Szkice na marginesach*.



MARZENIA I SEN SPRZED DZIESIĘCIU LAT

Łucja Fice

Gdy zbliża się godzina dwudziesta druga, przeprowadzam się do sypialni i włączam drugi bieg umysłu, a może raczej wyobraźni – tę cowieczorną prośbę do Boga o piękny sen. Tamtego wieczoru, zanim zasnęłam, oddałam się marzeniu o pociągu do nieba.

MARZENIA

Siedzę sobie w pociągu pospiesznym, spóźnionym, przeglądam się w lusterku i mizdrzę się, i staram się być dowcipna jak to większość samic w takim wieku, w którym zdaje się, że są atrakcyjne. Czeszę niesforne włosy, poprawiam tuszem rzęsy, maluję usta szminką i kładę róż na policzki. Siedzę tak w czarnej sukience, bo czarne to eleganckie i wyszczupla. Myślę o życiu jak o hipnotycznym śnie i o tym, że gotowa jestem na oszukiwanie siebie. Przecież w moim wieku tylko sny, te transy, które w sobie włączam, w które na krótko wpadam – mają wartość. W tych iluzjach mogę się popisywać i uwodzić swoją charyzmą. W snach jestem zawsze młoda i pełna ochoty na seks. Nie to, co na jawie, gdzie zdaję sobie sprawę, że już własnego męża nie uwiodę, gdzie nie wzbudzę żadnego w nim pożądania. Odczuwałam w sobie nadchodzącą starość, ale też czułam wtedy przewagę umysłu nad tą kiepską materią. Na saksach zawsze czułam się taka pojedyncza i próbowałam zapomnieć o tym, do czego zostałam powołana, czyli do opieki nad osobami starszymi w obcym kraju.

Zakopałam się w kotłdrę ponownie i niewidoczną łodzią wpląnąłam w sen. Z przekwitłej kobiety zamieniłam się w dwudziestolatkę jak poczwarka w kokonie w pięknego motyla, i jak ten motyl pofrunęłam w błękit i niebo mi śpiewało. Przyleciał mój mężczyzna, który teraz cierpliwie czeka na mój powrót. Mam jedno marzenie. Żeby tak mąż zechciał jeszcze raz się we mnie zakochać, tak jak kiedyś, kiedy mieliśmy dwadzieścia lat.

– Czy można się zakochać w staruszce? – wówczas się ocknęłam.

– Chyba tak – podpowiadały mi myśli, bo miłość jest zawsze młoda, świeża, nie zna upływu czasu, nie liczy się z niczym, bo po prostu jest. Po co więc tracić czas, jak można go zatrzymać? – dalej jadę tym pospiesznym po odzyskanie starej miłości. Pospieszny się opóźnił, ale na nową, starą miłość nie jest za późno, bo to przeczuwane uczucie będzie w sam raz, na ten czas, a ja zabawię się w niewinny romansik, który będzie się zaczynał tak samo, jak kiedyś nasza wielka miłość. To spowoduje, że nasze życie zamieni się w raj i niebo będzie już blisko, bo ja już nie powrócę na saksy i te resztki zieleni skrzyć będą i zaiskrzy nowy płomień – taki, co nie spala na popiół, a unosi, uszlachetnia, uszczęśliwia, jak czara dobrego wina. Serce zaczęło

mi bić w rytm stukotu i wszystko mi się wymieszało i nie umiałam wtedy wyłączyć tych marzeń, goniłam je, jakbym polowała na tygrysa. Zatracałam się w tych marzeniach, aż zasnęłam. Muszę dodać, że noc w tym domu miała zapach starych książek, spowolnionego czasu i tajemnicy, która nie zna ani początku, ani końca.

JEDNAK SEN WŁĄCZYŁAM

W śnie jadę pociągiem o mlecznych szybach. Przez okno nie widać nic, tylko jasność. Jakby cały świat za szybą złożony był z mgły. Mam na sobie czarną sukienkę, nie z żałoby, lecz z elegancji. Czerń wyszczupla kontury ciała, dodaje powagi myślom. W lusterku, które wisi na ścianie wagonu, widzę swoją twarz – raz młodą, raz starą, raz żadną. Czesząc niesforne kosmyki, rozsmarowując róż na policzkach, gram rolę kobiety gotowej na wszystko, choćby na spóźnioną miłość. Pasażerowie, niemal przezroczyści, patrzą w pustkę. Jeden z nich ma oczy identyczne jak mąż, inny przypomina mi ojca, który zmarł, gdy miałam siedem lat. Wśród nich jest też mężczyzna o dłoniach pokrytych jakby kurzem. To on sprawdzał mi bilet.

Rano zapisałam takie zdania ze snu:

„Jeszcze nie teraz”

„Ale wiesz już, którądy”

Obudziłam się z uczuciem, jakby ktoś mnie z tego snu wyłączył, zbyt szybko, bo ja chciałam jechać dalej, choć sama nie wiedziałam dokąd.

Przebudzenie było natychmiastowe, jakby ktoś niewidzialnym przyciskiem nadusił OFF. To było jak otwarcie drzwi do jawy, których nawet otwierać nie chciałam, ale drzwi zostały uchylone. Zadałam sobie pytanie:

– Dlaczego jestem tylko szarą gęsią, co nawet jaj nie znosi, a tylko opiekunką? Co jest ciekawego w sprzątanii, gotowaniu i usługiwaniu na życzenie seniorom, którzy stetryczali oczekują w poczekalni na swój wyrok? – rozmyślałam. Zdałam sobie sprawę z upływu lat, co objawiały się lekką siwizną, drobnymi już zmarszczkami na twarzy, a jednak odczuwałam młodość w sobie.

Czy znowu mam włączyć sen, by wyłączyć się z jawy? Przecież jesień może być również kolorowa, zamiast tżawa i ponura. Zanim wstałam, włączyłam w głowie kalejdoskop obrazów z młodości, które uskrzydlały mnie na cały dzień.

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarzach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Druka stro-na grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zastużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

Jolanta Karasińska

GORSET

nazwa niekoniecznie trafna
choć odbija lustrzane światło
nadal uciska myśli
zaciska pięści i myli kierunki

bez stawiania pasjansa
miotasz się i płaczesz w decyzjach
uzależnionych od pory dnia
ilości wiatru i słońca

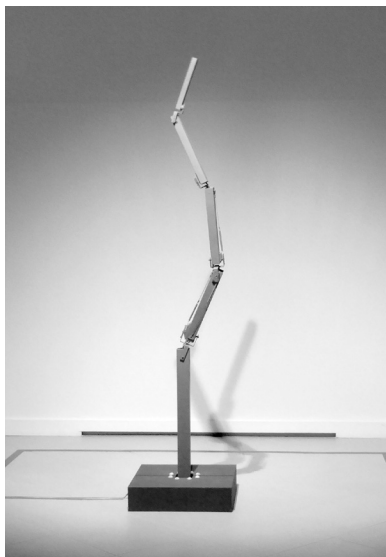
choć budzisz się z czymś innym
znowu mnożysz farmazony
dopasowujesz powtórki z wczoraj
stroisz się w tymczasowość
i z pokorą przyjmujesz od życia
kolejny gorzki prezent
trwasz

NAIWNA

tak bardzo chciałam się przytulić
poczuć bliskość oddechu
nacieszyć się słowem
by uwierzyć w inność
odnaleźć spokój wytchnienie

zrozumieć
że nie muszę być sama

otwarta na życie
z dziecinną bliskością
zderzyłam się z niepokojem
niezrozumieniem
jutra



JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała pięć tomików poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią ZLP. W 2019 za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

Jerzy Hajduga

Chwila

czy była potrzebna
ta chwila
ze mną

a tak się bała
zostać
dłużej

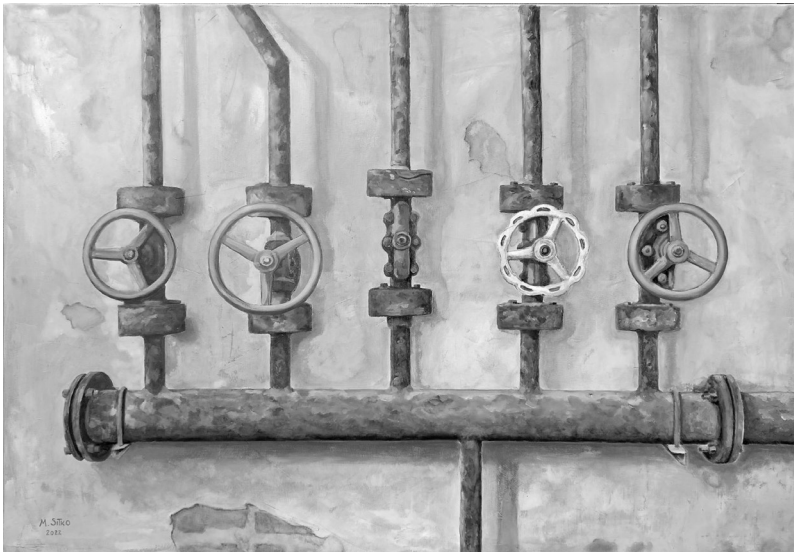
Początek

sam jestem ciekawy
gdzie mnie zastanie
z kim

aż ściany łąpią
oddech krzesło
by wróciło

i wraca wraca
mebluję przy
stole

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpczcz od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.



Edyta Plucińska

robi się ciszej

łopot serca cichnie
w zarysie pragnień
słowa nie dotarły
i rozpadł się sens

liche gniazdo czasu
rodzi w nas pustkę
pod dzikim niebem
z prędkich chwil

dzień bez wyrazu
dokuczliwie znosi
gnijące pod językiem
warstwy spieć

nocny horyzont
kusi martwym jutrem
aż wyrok nie ukoi
miękkiego chcę

nic zostawia strzępy
niczego w zdumieniu
by łagodna cisza
zdjęta pętla snu

łuskam prawdę
świadomości

milczenie
to najgłębszy krzyk

pełnia

w pełni
wywala na stół
zamrożoną pół roku
karmę

okiem w rosole
przeżykam bajki
tysiąca oczekiwań
jak trupy szansy

przystają bujać
okrętem złodzieja
z jednookim
widzeniem celu

zamykam cykl
i odkładam tyżkę
po gorzkim
odkryciu powodów

dziś
doprawi jutro
nowym smakiem
nieoczekiwanej
pełni

EDYTA PLUCIŃSKA: gorzowianka, od ponad dwudziestu lat zawodowo zajmuje się uczeniem matematyki. Poezję zaczęła tworzyć już w szkole średniej. Od 2024 roku uczestniczka warsztatów literackich Padok Pegaza. Pasjonuje się też fotografią, rysunkiem intuicyjnym i rozwojem duchowym. Zbiór jej tekstów w 2024 roku był nominowany w konkursie na debiut czasopisma „Pro Libris”. W tym roku ukaże się jej debiutancka książka.

FF

Anna Cerajewska

Czy to miłość, czy obcy człowiek?

Zadaję sobie pytanie, gdy wyciąga łapczywie ręce w moją stronę.

Wtedy zamieram. Skupiam wzrok na *Innym świecie* mówiącym do mnie z półki. Wyostrza i poszerza się pole widzenia. Wszystko, na co mnie stać, to literowanie w myślach tytułu. Nagle skądś oplata mnie jego ramię. Nie wiem, czy oddycham, czy jeszcze tu jestem, czy pochłonęła mnie jedna z książek, w które się wpatruję.

Czas zaczyna zakręcać w spiralach. Mnożą się w nieskończoność, próbując zamknąć się dookoła mnie. Zawijają się ciasno przy klatce piersiowej. Duszą mnie w jednym wąskim punkcie. Tam gdzieś w środku pozostaje we mnie coś żywego, lecz zamarło, aby przetrwać. Wszelkie czynności życiowe zwalniają. Siedzę sztywno. Kończyny i głowa nie należą już do mnie, są częścią pomieszczenia, niezdarne, bezwładne kikuty. Wyłączona powłoka, wypełniona niedziałającymi mięśniami i kośćmi. Bez woli życia. W myślach rozpościera się gęsta i mleczna mgła, jakbym nie znajdowała się tu naprawdę.

Przywiera do moich ust.

Jestem zastała jak kamień rzucony na dno morza, który nie ruszył się stamtąd od wieków. Jestem jak zając schowany w gęstwinie. Mam dwoje elastycznych uszu postawionych ostro do góry. Czekam na kolejny ruch. Wypatruję niebezpieczeństwa z gęstej trawy. Staję się nieruchoma jak liść na gałęzi w słoneczny dzień, którego nie chce musnąć nawet wiatr. Jak szara jaszczurka wygrzewająca się na skale. Wtapiam się w tło, żeby nikt mnie nie odnalazł. Niewiele odróżnia mnie od wszystkich dzikich zwierząt spotykanych w naturze i ich instynktowych reakcji obronnych.

To tylko dłoń. Pięć palców, szorstkie paznokcie, delikatny naskórek. Taka sama jak moja. Mogłabym sama poprawić ramiączko od koszulki i nie zwróciłabym na to uwagi. Teraz czuję, jak dotyk pali mnie żywym ogniem.

Posyła mi to ciemne spojrzenie.

To tylko oczy, które patrzą na mnie łakomie, choć zdają się czasami znikać. Oczy, które wprawiają mnie w wątpliwość, czy mam na sobie jeszcze ubranie, czy w ich odbiciu ktoś już mnie go pozbawił i rzucił w kąć pokoju. To tylko oczy. Ja też mam takie same. Trzepoczą rzęsami, gdy o coś proszą. Choć i moje, i twoje można by wydłubać.

Znów mnie całuje.

To tylko usta, które na co dzień mówią mi tak wiele. Opowiadają historie tak żywo, jakbym była ich częścią. Wykrzywiają się w grymasie, gdy mówię „nie” lub

posyłają kąciki do góry, gdy jestem radosna. Ja też je posiadam. Moje zaciskają się, gdy próbuję rozwiązać trudne zadanie. Lub są zupełnie bezużyteczne, gdy on do mnie podchodzi.

To tylko czający się i niewygodny strach, że powinnam...

Lecz gdzieś, tam w środku, wciąż tli się we mnie iskra życia. Wyobrażam ją sobie jako kłębek wełny, z wystającą końcówką. Ciągnę za tę malutką końcówkę gdzieś w sobie, a on niespodziewanie zaczyna rozplątywać się coraz szybciej kaskadą i nagle już nic nie trzyma mnie w środku, a ciało staje się moim sprzymierzeńcem.

Jestem tu i żyję. Mam w sobie tyle samo woli do działania co on. Ja przecież mogę się poruszyć. Uruchamiam się i wybieram, że chcę decydować.

Ten pierwszy raz biorę dłoń i strącam lepkie palce z kolan.

Odfruwam, znikam, uciekam. Pędzę tak szybko i tak daleko, jak tylko potrafię. Jestem szybka jak krew w moich żyłach, która uderza mi do głowy i jak świst pociągu, przypominający ten szum przerażenia w moich uszach, gdy biegnę. W końcu mam dwie nogi, które należą do mnie i mogę je wykorzystać.

Włączam się do ruchu. Istota czynna – właścicielka ciała i życia. Zrównuję szybki krok z innymi przerażonymi organizmami. Nie przestaję szukać zamartych ze stresu, niewidocznych jaszczurek.

FF – zwierzęta w biologii mają różne reakcje obronne np. freeze (stan zamrożenia, paraliżu) i flight (odlatywanie/ucieczka), stąd tytuł „FF”.

ANNA CERAJEWSKA: studentka III roku kognitywistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. W trakcie nauki w II LO w Gorzowie była laureatką kilku konkursów literackich. Zajęła m.in. III miejsce w XVIII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Marii Komornickiej w Koźlicach (2020), została laureatką Lubuskiego Konkursu Literackiego, Międzynarodowego Konkursu Literackiego „Świat bez wojny, przemocy i nazizmu” (2021) i jako jedyna uczennica z Lubuskiego dwa lata temu została laureatką XVII Konkursu Wiedzy o Uniwersytecie Jagiellońskim.

TERMINUS A QUO – ZARAZ 50 LAT OFFOWEGO TEATRU Z NOWEJ SOLI

Mirosława Szott

Scenografię ostatnio widzianej przeze mnie premiery (*Księga Buddy – Egon Bondy*, reż. Edward Gramont i Szymon Patrzykąt) w Teatrze Terminus A Quo stanowi przede wszystkim beczka – bardzo symboliczny rekwizyt. Przywołuje na myśl Diogenesa z Synopy, jednego z najbardziej znanych cyników, który głosił ideę niezależności i wolności wewnętrznej. Nie bez powodu zaczynam właśnie od beczki, mówiąc o 50-letniej (już niedługo) działalności Edwarda Gramonta. Bo nie wystarczy być filozofem i artystą, trzeba być jeszcze szaleńcem, żeby w tej beczce tkwić pół wieku, nie zważając na mody, koniunkturalne prądy i kryzysy. Nieco ponad 300 premier i ponad 4000 występów – tak przedstawia się ogólna statystyka Teatru Terminus A Quo, który od początku prowadzi Gramont, reżyser i twórca większości scenariuszy.



Foto: D. Bulińska

Teatr TAQ powstał w styczniu 1976 roku w Nowej Soli w Zakładowym Domu Kultury Odra przy Nowosolskiej Fabryce Nici jako teatr poetycko-wizyjny. Po kilku miesiącach doszło do pierwszej premiery. Zespół aktorski stanowili wówczas: Kazimiera Gesek, Irena Kasprzak, Czesława Soroczyńska, Mirosław Czernicki i Edward Gramont. „Zaczęto się świetnie, awangardowo, nowoczesnie. Można powiedzieć, że teksty Jacka Gulli nie tylko zainspirowały mnie, ale także wyznaczyły kierunek twórczości Terminus A Quo. *Poemat o zbawieniu świata* ewoluował przez wiele lat, doczekawszy się aż pięciu wersji”¹ – wspomina Gramont. W latach 80. i 90. XX wieku Teatr organizował kilkanaście edycji Turnieju Poetyckiego „O Pierścień Kingi”. Jego laureatami byli m.in. Mieczysław Warszawski i Karol Maliszewski. Do większości plakatów, programów i arkuszy poetyckich swoich prac użył Leszek Frey Witkowski.

Terminus przetrwał wiele dziejowych zawirowań. Funkcjonował w okresie PRL, stanie wojennym, był świadkiem strajków, budzenia się demokracji, kapitalizmu, pandemii, wojny za wschodnią granicą, rozkwitu sztucznej inteligencji. Przewinęło się przez niego kilkaset osób (niektóre odniosły spory sukces – np. Magdalena Różzka czy Paweł Kutny). Terminus A Quo zmieniał swoją lokalizację (miał siedzibę w Głogowie, Nowym Miasteczku). Jedynym stałym elementem Teatru jest Gramont. Co ciekawe, podczas Ogólnopolskiego

1 E. Gramont, *Terminus A Quo*, „Pro Libris” 2024, nr 3, s. 118.

Przeglądu Teatrów Studenckich i Niszowych EPIZOD w marcu 2010 roku Edward został in-tronizowany na króla polskiego teatru offowego. Tak to skomentował: „To tytuł przyznany po raz pierwszy, do tego w królewskim mieście (*śmiech*). Nikt jeszcze nie otrzymał takiego pasowania na mistrza, króla. Traktuję to trochę na zasadzie pewnej prawidłowości. [...] Chodzi o to, że Terminus A Quo to nie jest taki teatr, który zdarza się co dzień”². No właśnie – ten Teatr się po prostu zdarza, jest za każdym razem odrębnym zjawiskiem, które nie pozwala odbiorcom pozostać obojętnymi (a reakcje są zazwyczaj bardzo odmienne). Wytrąca z przyzwyczajień, zadziwia i jednocześnie głęboko niepokoi. Sięga do ogólnoludzkich problemów i dylematów moralnych.

Jednym z najgłośniejszych spektakli Terminusa jest *Skowyt* (grany na początku pod tytułem *Ameryka*) na podstawie poematu Allena Ginsberga, którego premiera przypadła na 1977 rok (grany ponad 100 razy). Wśród innych ważnych realizacji warto wymienić co najmniej kilka: *Wariat i zakonnica*; *Tyrania*; *Nowa sztuka zakopiańska*; *Ziemia jałowa*; *Usta/lenia*; *Antygona*; *Narzędzia tortur*; *Anna Livia*, *Gotha potwór*; *Adiafora*. Ważne miejsce w jego repertuarze zajmują też spektakle plenerowe (wymienię choćby *GO!*, *Laski* czy *Radžas*), które wystawiał w różnych częściach Polski i Europy. *Radžas* należy do najbardziej kontrowersyjnych przedstawień.



Foto: D. Bulińska

Pod koniec 2025 roku zostanie wydany przez Nowosolskie Alternatywne Stowarzyszenie Artystów NASA i Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze obszerny wywiad rzeka z Edwardem Gramontem, który prowadziłam przez pół roku, spotykając się z Edwardem, oglądając spektakle Terminusa, jeżdżąc z nim na rozmowy w terenie (m.in. Kozuchów, Bytom Odrzański). Książka

pokaże nie tylko najważniejsze etapy historii tego Teatru i nowosolskie tło historyczne. Punktem centralnym publikacji jest sam Gramont, jego losy, przemyślenia, wątpliwości – to wszystko, co składa się na wielowymiarowe, całościowe (offowe) bycie. Jubileuszowe wydarzenia, które odbędą się w Zielonej Górze i Nowej Soli, zaplanowano na styczeń 2026 roku. Już dziś na nie zapraszam.

Dr MIROŚŁAWA SZOTT: poetka, krytyczka literacka, literaturoznawczyni, autorka tomików poetyckich (*Pomiary Zamku*, *Anna*), monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki* oraz opracowania tekstów Ireny Dowgielewicz *Milczenia słuchajcie*. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie, wspiera projekty wydawnicze, ale przede wszystkim lubi niespieszne rozmowy z napotkanymi ludźmi. Obecnie mieszka w Zielonej Górze.

2 D. Lesiewicz, *Nowosolski król teatru poszukującego*, „Gazeta Lubuska” 14 kwietnia 2010.

Zbigniew Witosławski

W panikę wpadł mieszkaniec Ow-
czych Wysp, bywalec wielu sof,
kiedy wieczorem stwierdził on,
że mu nie działa funkcja ON
i przyrząd ma w pozycji OFF.

Zaradny filozof z Sofii
myślenie przełączył na OFF i
biznesy kręci.
Frajerzy dęci
wciąż grzebią się w filozofii.

Pewien wirtuoz z dalekich stron
na instrumencie raz pstryknął ON
i wtedy instrument
pokazał co umie.
Niejeden dziś chodzi wirtuoza klon.

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

WYROK W OSTATNIEJ INSTANCJI

(według Adama Asnyka „Między nami nic nie było”)

Ferdynand Głodzik

Między wami nic nie było,

oprócz waśni i uprzedzeń,
gdy się ciągle dochodziło,
komu kto zaorał miedzę.

Oprócz kłótni o granice,
kaczki, gęsi, psa i kota;
żądań, sporów i rozliczeń,
podchodzenia wciąż do płota.

Oprócz waśni poprzez lata,
tasiemcowych apelacji,
honorariów adwokata
i jedynie słusznych racji.

Nic nie było między wami,
każdy z was to dobry człowiek;
pora dzielić się kosztami;
zaptacie po połowie.

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

ZAPOWIEDŹ NOWEGO TOMIKU

Jerzy Grodek

Na Jerzego ha, ha, ha

Dla wielu, ku ucieście i udręce
jeszcze trzymam pióro w ręce.

Na europejskie przygany

Paragrafów „ślizganie”
wcale nie jest takie tanie.

Na bezprawny czas

Czas politycznej chwały
na kobiety kajdany i policyjne pały.

Na poklask

Nawet głupi traf
doczeka się braw.

Na ekologię

Dbaj o przyszłość dzieci
sortuj śmieci.

Na codzienność

Wynikiem innych głupoty
są dzisiejsze kłopoty.

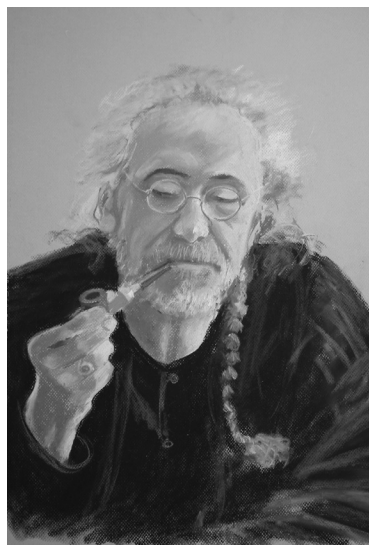


Foto: P. Sierakowski

Na opaleniznę

Kiedy po plaży tażę
widzę same tatuaże.

Na pięknisia

Bujne życie toczy
na cielęce oczy...

Na Jurka z naturą

Szumią lasy, szumią knieje
Jerzy po piwku się chwieje.

JERZY GRODEK: satyryk. Członek ZLP oraz Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie. Miłośnik szachów. Członek Światowej Federacji Klubów Fajczarskich. Od 1985 roku mieszka i tworzy w Niemczech.

PAMIĘĆ PIEŚNI, PAMIĘĆ RYTMU, PAMIĘĆ SŁOWA

Agnieszka Moskaluk

Antonina Tosiek, znakomita polska poetka, dramaturżka, naukowczyni i badaczka diarystyki ludowej XX wieku, była gością Książnicy Herberta 10 kwietnia

*tu będą śpiewane piosenki
a jeśli nie macie ochoty
proszę się nie krępować można siadać
w tylnych rzędach z dłońmi splecionymi w krzyże albo coś innego*

*w rogu o tam
stoi bileterka i ubiera wchodzących w zużyte stroje zespołu mazowsze
więc jeśli coś was kręci w nosie to tylko pot roztocza i trochę stęchlizny*

*mówiłam jej:
wolałabym bez tych falban ja tu tylko przyszłam pośpiewać bo bardzo lubię
a ona: nie nie pani musi tutaj cała od stóp do głów w żywej jarzębinie
wzięła mnie pod rękę i dalej heja tany*

*a przygrywał nam ostatni wiejski zespół pogrzebowy
dziesięciu starców każdy bardziej tam nie tutaj
bileterka mi na ucho: najgorzej będzie miał ten co umrze ostatni bo w ciszy*

*pół roku później lekarka z rodzinnej przychodni pokazuje mi
na swoim xiaomi nagrania z tego cichego pogrzebu i mówi:
w tej wiosze to azbest i malaria aż przykro patrzeć
ale nasz dom rodzinny mówi dalej jest elegancki cały w styropianie*

*a mnie ten styropian potem w uszach
śpiewa i śpiewa*

Wierszem *folk venitas* z tomu *storytelling* chciałam rozpocząć naszą rozmowę. Czytając ten tekst, od razu przychodzi mi skojarzenie z *Wniebogłosem* – świetnym debiutem Aleksandry Tarnowskiej, który także dotyczy – mówiąc bardzo ogólnie – kultury chłopskiej. Autorka wyskakuje poza pewien „obrazek”, jaki nam się pojawia, kiedy słyszymy: „wieś” czy „kultura ludowa”. Dotyka tej sfery kultury, o której wiemy bardzo mało, czyli pieśni pogrzebowych. Pozwalam sobie na to porównanie także dlatego, że napisałaś recenzję tego debiutu w swoim felietonie literackim w „Dwutygodniku” [2023 rok].

Dziękuję bardzo za to porównanie. Uważam, że to jest jedna z ciekawszych książek, która ukazała się w ostatnich latach w nurcie, nazwijmy to, ludowym. Mój *storytelling* ukazał się w 2021 roku, ale wiersze powstawały na przełomie 2016 i 2017 roku. Wtedy z dyskusji o chłopskim mieliśmy *Fantomowe ciało króla* – książkę naukową, która została wydana przez Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas. Mówi ona m.in.

o tym, że właściwie skolonizowaliśmy sobie wewnętrznie chłoptstwo – i to była pierwsza taka bardzo rewolucyjna rzecz. I jeszcze był Andrzej Leder z *Prześnioną rewolucją*, w której zauważył, że faktycznie prześniliśmy nie tylko Holokaust, ale także awans klasowy lat 50. i 60. Nic więcej o ludowości, tak na prawdę, wtedy jeszcze nie było.

Moje myślenie z myśleniem Oli jest dualistyczne – bo z jednej strony idzie na kolizję, a z drugiej strony się splata, bo faktycznie *storytelling* to książka o opowiadactwie i o szukaniu języka do opowiedzenia o rzeczywistości postwiejskiej, która nie wie za bardzo, do czego przynależy i nie wie, do czego aspiruje, bo straceńczo stara się ocalić elementy swojej tożsamości, a z drugiej strony chce się z tego wyrwać, bo na tym polega logika modernizacji. Właśnie o tym jest „styropian”. Pamiętam, jak płakałyśmy z mamą, kiedy wujek ściał lipy sprzed domu, w którym mama się wychowywała, i odmalował elewację. On nam mówił: „Dziewczyny, ale ja nie będę mieszkał w waszym skansenie!” A my tam przyjeżdżaliśmy i sobie wzdychałyśmy do naszego wspomnienia... To jest ten moment, gdzie trochę się z Olą zgadzaamy – piszemy o pieśniowości, o rytmiczności, o zachowaniu takich elementów kultury, które są trochę mniej intuicyjne, a bardziej organiczne, bardziej z ciała. Dla mnie pamięć pieśni, pamięć rytmu, pamięć słowa jest kluczowa, bo przychodzi w takim doświadczeniu rytualności, a poza tym jest po prostu o emocjach.

Kolizja – tak myślę – może też polegać na tym, że u ciebie jest właśnie opowiadactwo, a dla Aleksandry Tarnowskiej bardzo ważny jest zapis tych historii. We *Wniebogłosie* jest zeszytek, który główny bohater dostaje po swojej babci. To dla niego relikwia, bo najpierw babcia tymi swoimi niewprawnymi rękami zapisuje w nim pieśni pogrzebowe, a później on stara się robić to samo. Zatrzymać na tych kartkach coś ulotnego...

Ja też starałam się zrobić *storytelling* trochę śpiewnikowo. Teksty mają tytuły z różnych gatunków piosenek...

To, co mnie najbardziej różni z Olą, to chyba intencja i język. Ola po prostu pisze o rzeczywistości, bez wdzięczenia się, za to z ogromnym talentem. A ja – z tego powodu, że jestem badaczką i zajmuję się ludowością w swojej pracy naukowej – napisałam książkę, która próbowała mierzyć się z pytaniem, gdzie jest granica zawtaszczenia, gdzie jest moje doświadczenie, a gdzie jest doświadczenie, które wydaje mi się, że jest moje, bo z jednej, drugiej, trzeciej opowieści gdzieś we mnie przeszło.

Porozmawiajmy o tej kolonizacji kulturowej. Chciałabym przywołać Wojciecha Bonowicza, który w cyklu „Moi mistrzowie” w miesięczniku „Znak” tak napisał o twoim debiucie poetyckim:



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

Debiut ten na pewno nie przejdzie bez echa, także ze względu na problematykę, którą podejmuje młoda autorka. Wiejskość, chłopskość, ludowość, prowincjonalność... Od pewnego czasu toczy się ożywiona rozmowa na temat historii i terażniejszości polskiej wsi, w której biorą udział przedstawicielki i przedstawiciele różnych dziedzin nauki, ale też artyści i artyści. Jej celem jest rewizja obrazu wsi, który funkcjonuje w zbiorowej świadomości. Sztuka – w tym także literatura – odegrała w wytworzeniu tego obrazu znaczącą rolę, dlatego rewizja dokonująca się na jej terenie jest tak ważna. Pojawiła się w ostatnich latach grupa autorek i autorów skłonnych zmierzyć się z dotychczasowymi sposobami przedstawiania „wsi” i „ludu”. Nie wszystkie próby kończą się powodzeniem: niektórym piszącym udaje się przedrzeć przez zastane – i zastate – formuły, klisze i wyobrażenia, inni, zazwyczaj mimowolnie, przyczyniają się do ich utrwalenia. Niemniej rozmowa trwa i tom Tosiek potraktować można jako deklarację włączenia się w nią i stanięcia po stronie dokonującej się rewizji.

Bardzo to celne!

Dla mnie to w ogóle było przeżycie, że Wojciech Bonowicz – ten Bonowicz, który przyjaźnił się z księdzem Tischnerem, a ja potem czytałam jego rozmowy – napisał takie rzeczy!

Myślę, że i dla Bonowicza, i dla mnie ważne jest to, że moja książka jest o wsi potransformacyjnej, o wsi po latach 90., że bardziej interesuje mnie to, w jaki sposób rozpada się Ursus z lat 70. i jak robi się z niego budę dla psa, albo jak się nie rozkładają się pieluchy, które się zakopywało na polu, i one po tych 20, 30 latach, nadal tkwią w tej ziemi, niż to, że kwitnie łąka, jest cisza i ptaki...

To jest historia, o której my w ogóle nie chcemy wiedzieć. Cały czas zachowujemy obrazy – z gruntu nieprawdziwy, podkolorowany czy przekolorowany – *wsi spokojnej, wsi wesolej*, do której jedziemy, żeby sobie pooglądać krówkę czy kurkę, zjeść u cici „prawdziwy rosół”, pójść na porzeczkę, które też w twojej książce się pojawiają. Na to nakłada się zupełnie inny obrazek – wsi jako miejsca, z którego chce się uciec i zapomnieć, że stamtąd się pochodzi, tym bardziej, że ta wieś potransformacyjna to wieś zniszczenia i osamotnienia, wręcz sieroctwa. Czas transformacji, dzięki której wszyscy mieliśmy naraz stać się ludźmi sukcesu, brać życie w swoje ręce i pokazywać, jacy jesteście przedsiębiorczy, odważni i skuteczni, okazał się dla większości mieszkańców wsi – szczególnie tych popegeerowskich – wielką tragedią, z którą kolejne pokolenia zmagają się do dziś.

Od roku 1990 do 1996 ubóstwo na wsi wzrosło z 12 do 59%! Nie tylko na terenach popegeerowskich. 59% osób mieszkających na terenach wiejskich w 1996 roku żyło na skraju ubóstwa lub w nędzy! To są nawet 2 mln ludzi. Ja tym tematem zajmuję się naukowo i za każdym razem bardzo mnie to porusza.

Przy okazji *storytellingu* bardzo dużo jeździłam po małych ośrodkach miejskich, po małych bibliotekach gminnych i doświadczenie lat 90. było jedną z głównych opowieści, które pojawiały się na tych spotkaniach. Także ze względu na zderzenie z obowiązującą narracją, że: „teraz neoliberalne społeczeństwo sukcesu sobie poradzi, bo ma narzędzia i wejdzie w kapitalizm dokładnie tak samo, jak społeczeństwa zachodnie – nieobciążone i w ogóle”. A co z ludźmi, którzy nie potrafili sobie poradzić, bo nie mieli absolutnie żadnych narzędzi – także intelektualnych i edukacyjnych? Na tym polegały zapóźnienia i różnice w dostępności do przeróżnych usług na wsi i w mieście.

W latach 90. przeprowadzono duże badania przekrojowe o stanie zdrowia ludności polskiej. Okazało się, że na wsi 2/3 kobiet poniżej 65. roku życia miało bardzo poważne schorzenia związane z przeciążeniem i pracą fizyczną — układu kostnego, stawów itp. 2/3 kobiet! I to są lata 90.!

A dziś? Mamy kulturę ludową? Czy może kulturę neoludową, postludową, antyludową, paraludową?

W 1994 roku ukazał się pierwszy szkic, a niemal dekadę później Wiesław Myśliwski wydał *Kres kultury chłopskiej*. Pisał o tym, że tak naprawdę wszystko, co już nie jest z tej sfery mitycznego przywiązania do ziemi, bardzo specyficznego rozumienia relacji pomiędzy metafizyką a człowiekiem, już nigdy nie będzie ludowe. Ja uważam, że mamy stylizację na kulturę ludową, która z jednej strony jest paskudna — to te wszystkie dzwoneczki z Chin, plastikowe koraliki, chustki z poliestru, które można znaleźć w każdym sklepie albo nawet na poczcie... A z drugiej strony — to są te wszystkie inicjatywy oddolne małych grup rekonstrukcyjnych, śpiewaczych, tanecznych. Te inicjatywy zaczynają sięgać, czasem po prostu z własnej emocjonalnej potrzeby, do źródła swoich czy pokoleniowych doświadczeń, bo chcą dowiedzieć się czegoś o swojej tożsamości. Zależy im na zachowaniu pamięci o danym regionie.

Tylko że dziś „ludowe”, w takim potocznym znaczeniu, oznacza też — prząsne, słabej jakości. Moje pokolenie żartuje sobie w internecie, że dzisiejszą muzyką ludu jest disco polo.

Ale trochę tak jest.

W 2019 roku ukazała się bardzo ciekawa książka *Polski bajer. Disco polo i lata 90.* Moniki Borys. Mówi ona o tym, w jaki sposób współczesna telewizja, seriale typu „Świat według Kiepskich” czy muzyka disco polo odpowiadają na potrzeby partycypacji w kulturze bez dystansu i barier, które są trudne do przeskokowania. Tylko że to jest kultura masy, a nie kultura „ludu”! W listopadzie 2024 roku na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się konferencja dla wszystkich badaczy i badaczek, którzy zajmują się „ludem”. Kogo tam nie było: literaturoznawcy, historycy, antropolodzy, archeolodzy i archeolożki — absolutnie wszyscy. I my nie byliśmy w stanie wypracować wspólnego zdania — kto to jest „lud”, jak to metodologicznie ująć. Intuicyjnie pewnie każdy czuje to inaczej, ale my dzisiaj nie za bardzo wiemy, co ten rzeczownik oznacza.

Ty w *storytellingu* rozprawiasz się z mitami „ludowizny”. Rozbrajasz je i pokazujesz, że to nie jest ani sielskie, ani infantylne. Bardzo pięknie zauważasz i odnotowujesz, jak wieś się zmieniła czy się zmienia, jak bardzo jest różnorodna, jak bardzo wymyka się jednemu dyskursowi, jednej definicji tego, co my rozumiemy przez wiejskość i ludowość.

No bo co jest bardziej prawdziwe — to, że moja babcia miała kanki cynowe, których używała od lat 50. czy to, że był traktor John Deere na podjeździe? Jedna i druga rzecz jest dokładnie tak samo prawdziwa!

Po Polsce peregrynowała reprodukcja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Moja babcia Jadwiga Moraczewska została wybrana ze wszystkich gospodyń w Kcyni do tego, żeby napisała wiersz z tej okazji i wygłosiła przemowę w imieniu matek. I co jest bardziej prawdziwe — to, że ona ten wiersz po prostu hołubiła i miała schowany w woreczku welurowym, czy to, że miała czajnik elektryczny?

Dla mnie najważniejsze było to, żeby nie zrobić fetyszu ani ze współczesności, ani z pamięci, bo ta wieś, którą ja pamiętam — to już są parówki w plastikowej obwolucie i te zakopywane pieluchy na polu. Mi po prostu zależało na tym, żeby wieś nie uciekała ani od swego

okrucieństwa, ani od swojego piękna, ani od swojej wrażliwości na jeden element rzeczywistości, np. na religijność. Tu wszystko wymaga – i to starałam się zrobić w tej książce – bardzo głębokiego worka.

Taki świat „piszą” bohaterki twojej najnowszej książki *Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki kobiet wiejskich 1936-1995*.

Po prawie trzech latach harówki i ciągłego siedzenia w archiwum, w lipcu w wydawnictwie Czarne ukazał się mój esej o pamiętnikach mieszkanek wsi od lat 30. do lat 90. I tam, w pamiętnikach z lat 70. i końca lat 60., pojawia się i powraca jak refren opowieść o tym, że jest remont w domu i że wyrzuca się stare meble. Oczywiście, za każdym razem najbardziej mnie mrozi, kiedy jest to opowieść o tzw. Ziemiach Odzyskanych, o Górnym Śląsku, Dolnym Śląsku, Pomorzu, kiedy młoda pamiętnikarka pisze, że w końcu udało jej się te poniemieckie meble wywalić lub spalić i w końcu ma na przykład meblościankę Kowalskiego. Z dzisiejszej perspektywy czytam to i myślę: „O Boże! O rany!”. A dla niej te nowe meble były znakiem awansu, nowoczesności i modernizacji, ale też poradzenia sobie z poczuciem, że to stare było nie jej, obce.

Bo było nie jej i obce...

No właśnie! Bo jej rodzice żyli w przekonaniu, że: „My tu jesteśmy tylko na chwilę i zaraz wrócą Niemcy. To nie jest nasza ziemia, to nie jest nasz dom, więc tak naprawdę – to po co to wszystko?” A ten symboliczny moment przejścia kontroli nad przestrzenią i dodanie tam czegoś swojego – zawsze mnie to bardzo przejmuje.

Jak to się stało, że diarystyka ludowa XX wieku tak cię zainteresowała?

Na pierwszym roku studiów moją największą pasją były odwiedziny w antykwiariatach. W jednym z nich znalazłam druki z 1935 roku z pierwszego konkursu na pamiętniki chtëpskie.

Rzeczywiście, był czas, kiedy organizowano takie konkursy...

Pamiętniki na konkursy pisali więźniowie, dzieci, pielęgniarki – absolutnie wszyscy! W PRL panowała konkursomania. Samych konkursów dedykowanych spotecznościom wiejskim, mieszkańcom i mieszkankom wsi, nie tylko postchtëpom czy chtëpkom, rolnikom, rolniczkom, ale także inteligencji wiejskiej, wiejskim lekarzom, do 1996 roku zorganizowano 1500.

Niesamowite.

Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego i Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa w pałacyku w Rudnie zebralo około miliona rękopisów tych pamiętników. Nie pojedynczych kartek, tylko tekstów. Niektóre pamiętniki mają po 400 stron. Są zapisane w bardzo różny sposób. Niektóre są z lat 30., więc są pisane ołówkiem czy na pergaminie. Mój ulubiony z lat 60. został zapisany na opakowaniu po krajance twarogowej, bo



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

autorka nie miała absolutnie żadnych pieniędzy na papier, a już na pewno nie na papier kancelaryjny, więc wyczyściła, wyprostowała i wyprasowała opakowanie po twarogu i na nim opisała historię swojego życia.

Co stało się z tym milionem pamiętników?

No właśnie! I dlaczego nie są one obecne w dyskusji o polskiej literaturze? A według mnie te pamiętniki to jest najważniejsze, co wydarzyło się w polskiej literaturze w XX wieku! Nie ma takiego fenomenu piśmienniczego, w takiej skali, w żadnym innym kraju na świecie! To jest ruch pisarski, którego nie jesteśmy w stanie do niczego porównać. Tam są całe powieści, tomy wierszy, monografie poszczególnych miejscowości. Do dzisiaj zachowało się 10% tych materiałów.

Dlaczego tak mało?

Na początku 1990 roku pałac w Rudnie kupił prywatny inwestor i wyrzucił te rzeczy z archiwum, i one przez kilka miesięcy leżały przykryte po prostu plandeką. Zgniły, rozpadły się, porozlatywały w powietrze. Gdyby nie Ośrodek Karta i Zbigniew Gluza, który jest absolutnym cudem polskiej archiwistyki, to byśmy wiele stracili. On zorganizował swoich wolontariuszy, pojechali do Rudna i własnymi rękami załadowali te materiały na dwie przyczepy. Gdyby nie to, nie mielibyśmy nic. Najprawdopodobniej przepadły opowieści, które rzucałyby zupełnie inne światło na przeróżne doświadczenia – na przykład opowieści o wywózkach do Niemiec, skonstrastowane z tym, co faktycznie opisują te pamiętnikarki, albo w ogóle doświadczenia awansu, wyjazdy do miasta, kwestie związane ze świadomością edukacyjną, działalność kobiet w Batalionach Chłopskich, w partyzantce wiejskiej podczas II wojny światowej — nie mamy o tym żadnych informacji, bo to się nigdzie nie zachowało, a było w tych pamiętnikach. Moja książka stara się to ocalić. Ale też przygląda się pamiętnikom z lat 90. zapisywanym w kolorowych zeszytach w kratkę z napisem „Jeans collection” albo coś takiego, których autorki pisały: „Dzisiaj jest znowu niedziela. Zobaczyłam nowy odcinek „Dynastii”, więc zaczynam pisać”...

To jest cały niezbadany nurt nauki, który wcześniej służył do badań socjologicznych, a to taki ogrom i takie źródło opowieści o XX wieku, którego zupełnie nie dotykaliśmy. Naprawdę trudno o inne źródło, które by sięgało do takiego centrum doświadczenia. Wiadomo, że to jest też trochę autokreacyjne. Pisząc książkę, musiałam zweryfikować bardzo dużo faktów. Jest na przykład autorka, która pisze o tym, że przed Bitwą Warszawską w jej wsi, w jej domu stacjonował oddział Piłsudskiego i ona pamięta, że Piłsudski był straszny. Dzieci bały się go, bo miał straszego węża, ale dał im czekoladę. Czytasz coś takiego i myślisz: „Ha, ha, ha! Gdzie ty widziałas tego Piłsudskiego?”, a potem zaczęłam sprawdzać, że faktycznie wojsko przechodziło dokładnie przez tę wieś, znalazłam też inne opracowanie, które mówi, że stacjonowało w tej wsi przez tydzień i sobie myślę: „O rany! Jest całkiem spora szansa, że ona naprawdę była się tego węża i naprawdę dostała ten kawałek czekolady”. To są opowieści o obecności kobiet w historii, których nie ma w innych źródłach, a okazuje się, że nie dość, że one w niej były obecne, to były jej filarem.

Twoja druga książka poetycka to *Żertwy*. Podmiotka liryczna trochę zmieniła dekorum i bardziej już zagląda do miasta niż na wieś... Czytając po raz kolejny *Żertwy*, wypisałam też takie słowa: kobiecość, miasto, miłość, choroba, cierpienie...

Jest takie powiedzenie w środowisku literackim, że nie ma nic gorszego, niż napisać drugą książkę. Absolutnie wszyscy oczekiwali ode mnie, że będę zamknięta w tej wiejskiej „szufladzie”, że będę pisała tylko chłopskie historie, a ja miałam koncept na debiutancką książkę poetycką i tyle. *Żertwy* – to taka rzecz, której się nie spodziewałam. Pierwszą wersję *Żertw* zaczęłam pisać, kiedy opiekowałam się moją babcią. To była autoterapeutyczna rzecz o emocjach przeżywanych na żywo. Babcia zmarła, a ja napisałam książkę w jakimś szale zupełnie, z bardzo głębokiej żałoby. I ona przepadła, bo spalił mi się dysk w komputerze. Spaliła się cała książka, spaliła się cała bibliografia do mojego doktoratu, spaliły się szkice do artykułów, kilka esejów, nad którymi pracowałam. Panowie od profesjonalnego odzyskiwania danych powiedzieli: „Nic się nie da zrobić, pani Antonino, bardzo nam przykro”. Dostałam mejla od mojego wydawcy: „Może sobie coś przypomnisz?”. Pomyślałam: „Chryste Panie!”. Nie chciałam przypominać sobie tych emocji! To było bardzo trudne i bardzo bolesne. Kiedy się nieco uspokoiłam, napisałam *Żertwy* od nowa.

To książka o trosce. Moim zdaniem troska jest najwyższym przejawem miłości, tym, co w relacjach międzyludzkich jest najpiękniejsze, najważniejsze i najtrwalsze – praca opiekuńcza i bycie z ciałem drugiej osoby, branie na siebie odpowiedzialność za bardzo przyziemne elementy codzienności tej osoby, jak mycie jej ciała... Okazało się, że wiele osób wokół mnie ma podobne doświadczenie, bo opiekuje się swoimi rodzicami albo dziadkami...

I to też są doświadczenia niewystawione...

Tak. To jest tabu. Historia o tym, że kobieta rezygnuje z pracy zawodowej, rezygnuje właściwie ze swojego życia po to, żeby zajmować się swoimi starzejącymi się rodzicami, być z nimi do momentu, kiedy odchodzą, a potem przeżywa żałobę, bo traci te osoby, ale traci też cały ten element swojego życia, który był z nimi związany.

I też miałam wrażenie, że jedną z najtrudniejszych rzeczy w mówieniu o tym jest poczucie winy. Podczas rozmów, różne kobiety mówiły mi, że z jednej strony czują się winne, bo wydawało im się, że one za dużo poświęciły tym osobom, którymi się opiekowały, przez co utraciły wiele z życia, które miały wcześniej, na przykład relację romantyczną, relację z dziećmi, ale czują się winne też dlatego, że poczuły ulgę... Bo ulga jest najgorszym wstydem! W *Żertwach* jest wiersz *Ballada o Narajamie*:

Ulga jest najgrzeszniejszym z uczuć

Ta książka mi się przydarzyła... Nie spodziewałam się, że będę osobą, która napisze taką książkę, której ta książka będzie potrzebna. Piszą, dzwonią do mnie ludzie, którzy mówią, że przeżywają bardzo podobne rzeczy i że wstydzą się tego doświadczenia. To jest zupełnie innego rodzaju potężenie emocjonalne, którego nie dało się wyrazić inaczej niż właśnie w wierszu.

Dziękuję.

ANTONINA TOSIEK: naukowczyni, dramaturżka, poetka, badaczka XX-wiecznej diastyki ludowej, krytyczka literacka i teatralna. Laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2025) oraz Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2025). Autorka dwóch tomików poetyckich *storytelling* (2021) i *Żertwy* (2024) oraz eseju *Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet* (2025).

Samotny pilot wyobraźni – JERZY ALSKI (1951-2025)

Anna Dominiak

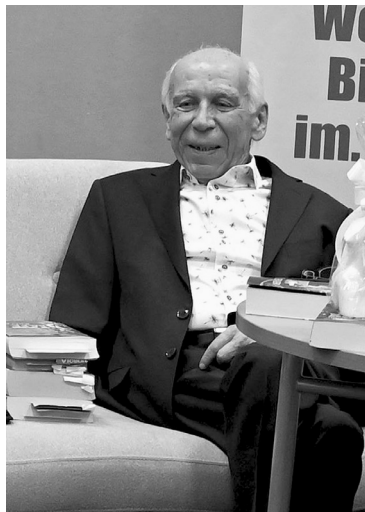


Foto: A. Katuski

Żył poza ramami – lekarz i pisarz, erudyta i bon vivant. W literaturze znajdował schronienie, a w bohaterach swoich książek realizował niespełnione marzenia. Zawsze osobny, a jednak obecny – w rozmowach, felietonach, spotkaniach, które zostaną w naszej pamięci.

W dniu swoich 74. urodzin odszedł Jerzy Alski – pisarz, lekarz i eseista, jedna z najbardziej wyrazistych postaci gorzowskiego środowiska literackiego. Symboliczna data zamknięła życie twórcy, w którym splatały się medycyna, literatura i sztuka życia.

Był lekarzem, cenionym za profesjonalizm i uważność, ale nigdy nie ograniczał się do jednej roli. Miał pamięć, w której mieściła się jakby biblioteka dawnych mistrzów, a erudycja pozwalała mu poruszać się swobodnie między biologią i filozofią, literaturą, historią

idei i kulturą. Rozmowy z nim były intensywne, pełne powagi i intelektualnej dyscypliny – tak, jakby każda wymiana myśli była przedłużeniem jego twórczości.

Od lat współpracował z „Pegazem Lubuskim”, był w na promocjach pisma, a jego felietony zwracały uwagę wyrafinowaną formą i koturnowym tonem, który potrafił nadawać codziennym sprawom ciężar niemal klasycznych rozważań. W prozie postugiwał się bogatym, ornamentacyjnym językiem, pełnym emfazy i rozbudowanych obrazów. To właśnie z tych cech zrodziła się „alszczyzna” – sposób pisania tak charakterystyczny, że czytelnicy mówili o nim jak o czymś osobnym, a zarazem nieodparcie wciągającym. Jego styl miał w sobie moc uzależniającą – gdy raz się w niego weszło, trudno było się od niego oderwać.

Alski nie bał się wychodzić poza schematy – ani w literaturze, ani w życiu. Bohaterowie jego książek nosili w sobie niespełnione marzenia autora, bywali jego alter ego, a on sam powierzał im tęsknoty, których nie dało się urzeczywistnić.

Żył literaturą, ale żył też jak bon vivant – elegancki, szarmancki, trochę jakby nie z tej epoki. Z wdziękiem prowadził sportowe porsche, marzył o licencji pilota, a jednocześnie zawsze miał przy sobie maty zielony laptop, w którym zamykał swoje myśli. Pisanie było jego azylem, pasją i natęgiem.

Jerzy Alski zostanie zapamiętany jako twórca osobny, erudyta i mistrz słowa, lekarz, który odważył się żyć i pisać po swojemu. Jego obecność pozostawiła trwały ślad w środowisku literackim, a jego brak odczuwamy dziś wszyscy: przyjaciele, którym trudno się z tą śmiercią pogodzić, i czytelnicy, którzy dali się porwać jego stylowi.

Zostawił nam język, którego nie da się pomylić z żadnym innym i pustkę, którą trudno będzie wypętnić.

DEMASKOWANIE NIEPAMIĘCI

Agnieszka Moskaluk

Co jest ważniejsze? To, co pamiętamy, czy to, czego pamiętać nie chcemy? To, co w indywidualnej i zbiorowej pamięci podnosimy do rangi symbolu, czy to, po czym zacieramy ślady? Co bardziej buduje naszą tożsamość? Odpowiedzi na te pytania od lat szuka Lesia Pcholka, białoruska artystka, performerka i badaczka, która w czerwcu po raz kolejny zaprosiła gorzowian do wspólnej pracy nad tymi zagadnieniami – tym razem w projekcie „Wspólne zapomnienie”.

Jestem więc wymazuję z pamięci

Jak mówi Lesia Pcholka:

...praca z pamięcią pomaga mi lepiej pojąć przeszłość. Pomaga mi też zrozumieć czas, który wszyscy teraz przeżywamy – czas historyczny.

Do refleksji w tym kierunku zainspirowała mnie Hanna Sieweryniec, białoruska nauczycielka, dziennikarka i pisarka. Wyraziła ona myśl, której długo szukałam. Twierdzi, że wspólnota tworzy się nie tylko przez wspólną pamięć, przyjęte i rozumiane dla społeczności kody kulturowe, ale także przez to, co zostało wspólnie zapomniane, wykreślone przez grupę poprzez oficjalne wykluczenie z historii lub autocenzurę.

Czujemy się częścią określonej wspólnoty właśnie przez te wspólne kody, wspólne słowa, cytaty, rzeczy, których nie trzeba wyjaśniać, a które często są niezrozumiałe dla ludzi z innych krajów czy innych grup.

Przyjmujemy jako prawdę to, co nam opowiedziano. W rzeczywistości każde zbiorowe wspomnienia – pamięć rodziny lub pamięć narodu – to przede wszystkim mity, legendy, stałe elementy sztucznie stworzone, z których wyrasta wspólny kanon historyczny i wspólny narodowy kod kulturowy.

Ja, jako osoba, która dorastała w głęboko zrusyfikowanym społeczeństwie, od dzieciństwa odbierałam kod sowieckiego człowieka. I w pewnym momencie zrozumiałam, że to tożsamość zbyt szeroka, nie do końca moja, nieodpowiadająca moim wewnętrznym potrzebom i niewyjaśniająca wątpliwości, które się pojawiają.

Pracując z pamięcią – jako artystka, poprzez siebie badam swoją kulturę. Archiwizując siebie, obserwując to, na co zwracam uwagę, a co wypieram.

Wracając do Hanny Sieweryniec, przywołuje ona przykład pracy Ernesta Renana, który badał narody i kulturowy aspekt tego zjawiska. I chyba on pierwszy sformułował tę ideę – że naród to nie tylko to, co ludzie pamiętają – to także to, co ludzie wspólnie zapominają.

Zapomnienie jest głównym czynnikiem tworzenia narodu, dlatego postęp badań historycznych często stanowi zagrożenie dla budowania narodowego mitu.

Świadomie wybrałam pracę z pamięcią – pracę z tym, co nie jest oficjalną narracją dzisiejszej represyjnej polityki reżimu na Białorusi – ponieważ nasza historia to praca nad zapomnieniem.

Z archiwum L. Pcholki



Historie znikania

Pcholka poświęca swoją uwagę przede wszystkim kobietom. Pracuje z historią codzienności. Bada rodzinne archiwa fotograficzne. W ramach stworzonego przez siebie cyfrowego archiwum VEHA zbiera amatorskie fotografie, tworząc niezwykłą kolekcję i popularyzując je w kulturze masowej. Dokumentuje w ten sposób różne aspekty życia społecznego od momentu pojawienia się tego medium na terenie dzisiejszej Białorusi. Tematami tej kolekcji są zdjęcia weselne i pogrzebowe, ujęcia na tle ręcznie tkanych dywanów, wizerunki ludzi na tle lasu. W ten sposób Pcholka i jej VEHA dokumentuje ślady historii białoruskiej codzienności.

W czerwcu tego roku Pcholka zaprosiła gorzowian do wzięcia udziału w warsztacie dotyczącym pamięci i niepamięci „Wspólne zapominanie”. Towarzyszyła mu instalacja „Silk monument” (kuratorką całego projektu była Zofia Nierodzińska). To kolaże zdjęć kobiecych medałów nagrobnych znalezionych w Białorusi, Ukrainie i w Polsce. Jak czytamy na stronie MOS:

Te popękane, wyszczerbione, zwietrzałe i potamane medaiony są nadrukowane na tkaninie. Uchwycone na cmentarzach pogranicza – w regionach oznaczonych ciągle zmieniającymi się granicami i imperiami – portrety są anonimowe, lecz noszą w sobie ślady indywidualnych żyć utraconych w oficjalnych narracjach. Poprzez te fragmentaryczne obrazy angażują się w niewidzialne historie życia codziennego – losy kobiet, które nie brały udziału w wojnach, ale je przetrwały. Ich historie pozostają nieudokumentowane, przemilczane przez pamięć historyczną ukształtowaną przez konflikt, ideologię i władzę państwową.

W mojej pracy zestawiam tradycyjne materiały pamięci, takie jak ciężki marmur i beton, z elastycznością i wytrzymałością jedwabiu. Portrety nawiązują do pottuczonych porcelanowych przedmiotów gospodarstwa domowego: kruchych, zniszczonych i porzuconych. Jedwab staje się tu zarówno nośnikiem pamięci, jak i aktem

oporu przeciwko zapomnieniu. Tworząc te jedwabne pomniki, sięgam ku historii wykraczającej poza granice (państwowe) – historii naznaczonej milczącą nieobecnością biografii kobiet. Praca przywołuje coś pomiędzy domowym obrusem a pomnikiem – zawieszonym, niestabilnym – umiejscowionym między opieką a kontrolą.

Ta instalacja to proces ciągły. Nadal kolekcjonuję nowe portrety, dodając nowe fragmenty z każdą wystawą. Ci niemi świadkowie ponownie wkraczają w historię wizualną, pozostając niemymi, lecz obecnymi, kształtując kontrpamięć przeżytych, lecz rzadko rejestrowanych doświadczeń.

W 2019 roku – także w Miejskim Ośrodku Sztuki – Lesia Pcholka zrealizowała inny ciekawy projekt „Nazwiska panięskie”. Każda z uczestniczek miała na odbitce zdjęcia swojej babci – naniesionej na płótno – wyszyć czerwoną nicią jej panięskie nazwisko. To było bolesne – także dosłownie doświadczenie. Miałyśmy bowiem nasze babcie w palcach, odcisnięte niemal do krwi...

Projekt „Nazwiska panięskie” uważam za szczególnie istotny w naszym kręgu kulturowym, gdzie zarówno pamięć, jak i historia toczą się „po mieczu”, a zupełnie nie doceniamy roli kobiet. Znaczymy je datami wojen, chwalebnych bitew i bohaterskich śmieci. Napawają nas dumą (i słusznie!) wielkie czyny przodków, którzy walczyli za ojczyznę. A co z przodkiniami? Wszak, podczas gdy nasi dziadkowie i pradziadkowie wyruszali na kolejne wojny i podpalali świat, nasze babki i prababki na miejscu walczyły o to, by – mimo biedy i wojennej zawieruchy – nie gasty domowe ogniska. To na ich barkach spoczywało nie tylko zapewnienie bytu rodzinom, ale także dbanie o „matę ojczyzny”, pamięć o dziedzictwie rodzinnym, kulturowym, społecznym. Tymczasem nie ma po nich śladu w naszych nazwiskach. Z każdym kolejnym ślubem i aktem małżeństwa, z mocy prawa wymazują się i znikają, na korzyść nazwiska męża.



Z archiwum L. Pcholki

nie(Pamięć)

Pamięć i niepamięć stały się dziś nie tyle przeciwieństwami, co dwiema stronami tego samego procesu: selektywnego konstruowania tożsamości jednostki i wspólnoty. Pamięć, choć często uznawana za fundament historii, nie jest ani trwała, ani obiektywna; raczej przypomina archiwum podlegające nieustannej edycji – często nie przez tych, którzy pamiętają, lecz przez tych, którzy mają władzę nad narracją.

Myśląc o tych zagadnieniach, nie sposób pominąć znakomitego badacza i filozofa Zygmunta Baumana, który wielokrotnie w swoich książkach i pracach naukowych podkreślał, że w społeczeństwie konsumpcyjnym zapominanie bywa wygodne. Pamięć staje się towarem – selekcjonowanym, upiększonym, filtrowanym – niczym fotografie na portalach społecznościowych. Niepamięć zaś staje się narzędziem przetrwania, wygodnym mechanizmem obronnym. W jego analizach Holocaustu czy kondycji postludobójczych społeczeństw odnajdujemy dramatyczne napięcie: z jednej strony – konieczność pamięci jako moralnego obowiązku, z drugiej – społeczną tendencję do wyparcia, przemilczenia, a nawet wybielania przeszłości.

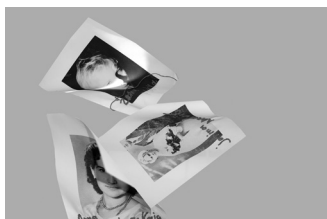
Pamięć zbiorowa, jak pisał Maurice Halbwachs, nie istnieje w izolacji; kształtowana jest przez ramy społeczne. Literatura – od Prousta po Tokarczuk – odgrywa tu rolę medium pamięci, ale i pola walki o interpretację. Proustowskie „wspomnienie mimowolne” (np. smak magdalenki) ukazuje, że pamięć nie poddaje się pełnej kontroli – wraca, kiedy chce, i nie zawsze zgodnie z naszą wolą.

Można by rzec, że nowoczesne społeczeństwo nie tyle pamięta, ile „zarządza pamięcią”. Muzea, pomniki, rocznice – to wszystko formy instytucjonalnej pamięci, które często służą nie tyle upamiętnieniu, co uspokojeniu sumienia. Tymczasem pamięć prawdziwa – nieheroiczna, pełna sprzeczności i bólu – bywa zbyt trudna, by ją pielęgnować. Dlatego tak często ustępuje miejsca niepamięci. A ta – jak pisał Paul Ricoeur – nie musi być zaprzeczeniem pamięci, lecz jej formą. Wybaczenie, pojednanie, uzdrowienie – wszystkie te procesy zakładają pewien rodzaj zapomnienia, nie w sensie zanegowania, lecz przekształcenia. Bauman nie ufał jednak zbyt łatwym pojednaniom. Wskazywał, że bez krytycznej pamięci nie ma etycznej przyszłości. Nie chodzi o to, by wszystko pamiętać – chodzi o to, by pamiętać to, co nas czyni bardziej ludzkimi.

Zygmunt Bauman zauważał, że nowoczesność, dążąc do porządku, czystości i kontroli, nie tylko eliminuje nieład, ale także ukrywa to, co niewygodne – zarówno w teraźniejszości, jak i w przeszłości. W tym sensie niepamięć nie jest przypadkowa. Jest wyborem. To, czego nie chcemy pamiętać – kolonializm, ludobójstwa, wykluczenia, marginalizacje – zostaje wypchnięte poza oficjalny dyskurs. Taka niepamięć ma charakter ideologiczny: tworzy iluzję czystej historii, „niewinnych” narodów i jednolitej kultury. Paul Connerton w *How Societies Remember* mówi o *wstydlivej niepamięci*, która ma na celu wymazanie hańby. Michel-Rolph Trouillot z kolei pisał o *ciszy historycznej*, którą narzuca się tym, których cierpienie nie pasuje do narodowej narracji.

Niepamięć jako przemoc kulturowa

W literaturze możemy odnaleźć wiele głosów przeciwko tej wykluczającej niepamięci. Toni Morrison w *Umiłowanej* ukazuje, jak czarna społeczność w Ameryce zmagą się z pamięcią



Z archiwum L. Pcholki

traumy niewolnictwa – nie tyle poprzez zapomnienie, ile przez niezdolność do wypowiedzenia tego, co się wydarzyło. To niepamięć, która boli – bo jest narzucona, systemowa, nieoswojona. Podobnie Olga Tokarczuk, przywołując historię polskich Żydów i mniejszości etnicznych, pisze o białych plamach pamięci narodowej. To, czego nie ma w podręcznikach, istnieje w języku cieni, duchów, przemilczeń.

Bauman pisał o tym zjawisku jako o *wypieraniu Innego* – z przestrzeni społecznej, ale też z pamięci. Inny, który nie pasuje do obrazu wspólnoty, zostaje zapomniany – a więc unieważniony. To samo dotyczy kobiet, osób queer, klas ludowych – ich historie rzadko trafiają do oficjalnych opowieści. Pamięć zbiorowa bowiem ma swoich strażników, a ci często decydują, które głosy zastępują na słuchanie.

Niepamięć jako cena przetrwania?

W *Płynnej nowoczesności* Zygmunt Bauman sugeruje, że społeczeństwo współczesne działa w rytmie przyspieszenia – zapomina, bo musi robić miejsce dla nowego. To, co było wczoraj, dziś już jest przestarzałe, niewygodne, nieoptyczne. Z tego powodu

także jednostki uczą się zapominać, bo pamięć boli, spowalnia, przeszkadza w mobilności.

Jednak, jak pisał Ricoeur, *nie można wybaczyć tego, czego się nie pamięta*. Niepamięć narzucona – zinstytucjonalizowana, polityczna – uniemożliwia prawdziwe pojednanie. Można więc powiedzieć, że niepamięć jest formą przemocy symbolicznej – która uniemożliwia pełnię człowieczeństwa.

Niepamięć nie jest pustką. Jest konstruktem społecznym. Może być narzędziem opresji – ale też mechanizmem przetrwania. Może chronić – ale też unieważniać. Powinniśmy ją – jak Lesia Pcholka – demaskować. Nie po to, by pamiętać wszystko, ale by pamiętać to, co najtrudniejsze – bo tylko wtedy pamięć przestaje być dekoracją, a staje się zobowiązaniem.

LESIA PCHOLKA (1989): białoruska artystka wizualna, obecnie mieszkająca w Berlinie i Bielsku Podlaskim. Jest założycielką archiwum VEHA, poświęconego zachowaniu białoruskiej fotografii wernakularnej i badaniu pamięci zbiorowej. Łączy praktykę archiwalną, narracje migracyjne i transformacje społeczne, korzystając z narzędzi fotografii, wideo i instalacji. Bada nieudokumentowane historie i traumy polityczne. Jej projekty łączą historię kultury ze współczesnymi ruchami migracyjnymi, pokazując indywidualne biografie i strategię oporu stawianego autorytaryzmowi i przymusowym przesiedleniom.

TECHNIKA, NAUKA, TWÓRCZOŚĆ

Marek Sitko

Urodziłem się w Gorzowie. Większość mojego życia związana jest z Gorzowem. W młodości sądziłem, że mogę wybrać inne miejsce do życia – i rzeczywiście, podczas studiów zakochałem się w Gdańsku, Trójmieście i jego okolicach. Jednak z tej ziemi obiecaną wyrwał mnie pobór do wojska. Trafiłem do Olsztyna, którego nie zdążyłem poznać podczas kilku jednodniowych przepustek. Z Olsztyna przeniesiono mnie do jednostki wojskowej w Gorzowie – nie przypadkiem, lecz dzięki staraniom rodziny i odpowiednim układom. Dzięki temu mogłem przepisać rękopis pracy dyplomowej na maszynie, oprawić go i wystać na uczelnię. Tak zakończyły się moje poszukiwania miejsca w świecie – ożeniłem się i osiadłem w Gorzowie.



Dzieciństwo ma kluczowy wpływ na dorosłe życie. W moim przypadku było to dziecięce zauroczenie techniką, nauką i sztuką – fascynacja, która trwa do dziś. Jednym z pierwszych dziecięcych wspomnień, chyba z trzeciego roku życia, jest spotkanie z parowozem na dworcowym peronie. Pod niewagę rodziców oddałem się i stanąłem przed buchającą parą, sapiącą maszyną z ogromnymi szprychowymi kołami. Nie sparaliżował mnie strach, lecz podziw. Zafascynowanie techniką i rzemiosłem pozostało ze mną na stałe. Dziadek był rzemieślnikiem, a jego pracę w warsztacie obserwowałem z nabożną czcią.

Nauka pojawiła się w moim świecie jeszcze przed szkołą – za sprawą telewizora, który w 1964 roku nie był dobrem powszechnym. Ojciec kupił go za pieniądze z odszkodowania za pobyt w stalinowskim więzieniu (pojawiła się też lodówka, ale nie odegrała większej roli w tej historii). Rodzice pracowali, a ja – nie mogąc uczęszczać do przedszkola – zostawałem sam w domu. Pozwolono mi oglądać telewizję, w której przed południem nadawano programy edukacyjne dla szkół. Szczególnie polubiłem fizykę – pokazywane doświadczenia próbowałem odtwarzać w domu. Uznałem, że nauka jest czymś wielkim – i tak mi pozostało.

Sztuka docierała do mnie wolniej. Początkowo nie wiedziałem, czym właściwie jest, poza malowaniem i rysowaniem. Oprócz telewizora miałem kredki i farbki, którymi przemalowywałem zwierzęta z disnejowskiej książeczki. Świadomość sztuki jako odrębnego pola twórczości przyszła dopiero w wieku nastoletnim, gdy zaprenumerowałem czasopismo „Sztuka” (do dziś przechowuję kilka numerów z sentymentu do tamtego czasu). Widziałem to tak: nauka i sztuka to różne formy twórczości. Sztuka daje swobodę, nauka wymaga rygoru – ale obie potrzebują kreatywności.

Pod koniec liceum stanąłem przed wyborem dalszej drogi edukacji. Pociągały mnie zarówno nauki ścisłe, jak i sztuka. Wpadłem na pomysł: architektura łączy jedno i drugie! Zwierzyłem się z tego odkrycia koledze, który stwierdził, że bez wcześniejszych zajęć z rysunku nie mam szans dostać się na architekturę, a jeśli nie zdam – wojsko mnie capnie! Przekonał mnie, więc złożyłem papiery na Wydział Elektryczny Politechniki Gdańskiej. Zdałem bez problemu.

To był trudny czas – powstanie Solidarności, stan wojenny, studia i życie w akademiku. Nie żałowałem wyboru kierunku, ale po drodze z uczelni do akademika często zaglądałem do księgarni, szukając nowości o sztuce. Nawiązywałem kontakty ze studentami PWSSP (tak wówczas nazywano uczelnie artystyczne) w Gdańsku, którzy przemycali mnie do swoich pracowni. Próbowałem zostać wolnym słuchaczem na nowo powstałej Katedrze Fotografii – bez powodzenia. Profesor obejrzał moje zdjęcia i powiedział, że „coś w tym jest” i mogę sobie dalej fotografować, ale nie tutaj. Sztuka musiała więc odejść na dalszy plan – praca, rodzina, życie... itp. itd.

Odstawiona, czekała na lepsze warunki wzrostu. Początek kietkowania nastąpił, gdy poznałem Joannę i Grzegorza Piotrowskich. Joanna nauczyła mnie technik ceramicznych, a Grzegorz zainspirował swobodą malarską i kreatywnością. Praca z gliną przypomniała mi młodzińcze zainteresowania rzeźbą – odkryłem, że dobrze czuję formę przestrzenną. Ceramiką zajmowałem się kilka lat. Razem z żoną stworzyliśmy pracownię ceramiczną.

Z malarstwem było inaczej – nie miałem doświadczenia. Grzegorz powiedział kiedyś: „Jeśli lubisz maszyny, rysuj i maluj je.” Rysunek miałem całkiem niezły, więc z zapałem narysowałem pierwszą wyobrażoną maszynę – mechanicznego ptaka. Podstawy malarstwa poznałem na kursie w Grodzkim Domu Kultury w Gorzowie, w pracowni Zbigniewa Siwka. Z tego czasu wynikły piękne znajomości z miłośnikami sztuki (jak siebie nazywaliśmy), które zaowocowały powstaniem grupy malarskiej „Zakaz Parkowania” – „bo kto nie parkuje, ten dalej zajdzie”, jak mawialiśmy. Grupa działała przez kilka lat, odnosząc pewne sukcesy wystawieni-
nicze w Gorzowie, Barlinku i dwukrotnie w Berlinie.

Praca w końcu ustała – nie była już konieczna. Pojawiła się okazja, by się kształcić. W ekspresowym tempie podjąłem najpierw studia podyplomowe z zakresu plastyki, a następnie studia magisterskie na ASP w Poznaniu, na Wydziale Edukacji Artystycznej – jedynym dostępnym w trybie zaocznym. Studia na tym kierunku dawały mi możliwości rozwoju w rysunku, malarstwie i w rzeźbie. Pracę dyplomową mogłem zrealizować w jednej z tych dziedzin. Początkowo miało to być malarstwo, potem rzeźba, a może rzeźba z aneksem z malarstwa? – jak zasugerował profesor Leśnik. „Nie podoba mi się” – pomyślałem. Ostatecznie wybrałem rzeźbę, kierując się przyjemnością pracy z formą przestrzenną, którą wcześniej poznałem.

Dyplom magistra sztuki uzyskałem w 2013 roku na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu (nastąpiła zmiana nazwy uczelni). Pracę artystyczną z rzeźby przygotowałem pod kierunkiem prof. Jacka Jagielskiego, a teoretyczną – pod opieką prof. Romana Kubickiego. Byłem zadowolony z obu prac, a komisja również, więc „wyszył na pięć”. Jako pracę artystyczną przedstawiłem interaktywną instalację *Mam czas*, w której wykorzystałem umiejętności inżynierskie, samodzielnie projektując i wykonując elektronikę. W pracy teoretycznej pt. *Artysta w technosferze. Pojęcie i geneza cybersztuki* z pasją przedstawiłem związki sztuki z nauką oraz inżynierów z artystami – często w jednej osobie, jak w moim przypadku.

Uzyskanie dyplomu mogło być końcem lub początkiem drogi. Nie myślałem, że realizuję tylko swoje ambicje. Wiedziałem, że to nie był mój cel – zdobyłem kompetencje, które mogłem wykorzystać w twórczości. Poczutem, że chcę tworzyć na własnych zasadach, w swoim tempie, bez potrzeby udowadniania czegokolwiek komukolwiek. Mogłem już „uprawiać sztukę”. Dlaczego mówimy „uprawiać sztukę”, podobnie jak „uprawiać rolę”? – pomyślałem. Może dlatego, że zarówno artysta, jak i rolnik podejmują trudne decyzje, by uzyskać dobry plon, który nigdy nie jest pewny.

Uznałem, że moją mocną stroną jest dualizm wykształcenia w odległych dziedzinach. Artyści zawsze szukają nowych pól (nomen omen) twórczości – i chyba wszystkie dziedziny nauki już spenetrowali. Z tych poszukiwań narodziły się: futuryzm, konstruktywizm, sztuka kinetyczna, cybernetyczna, bio art, electronic art, cyborg art i inne. Futuryzm ukazywał człowieka w świecie maszyn, prędkości i techniki. Konstruktywizm zakładał harmonizację sztuki, dizajnu, nauki i techniki. Jego celem było zbudowanie mostu między „dwoma kulturami”: naukową i humanistyczną. Konstruktywiści wierzyli, że inżynierowie i artyści mogą współpracować dla wspólnych celów. Idee tych awangardowych kierunków z początku XX wieku stały się także moimi – chyba od dzieciństwa, choć nieświadomie.

Inspiracji szukam w matematyce, cybernetyce, kognitywistyce, metafizyce i naukach przyrodniczych. Realizuję je najczęściej w formie rzeźby interaktywnej lub instalacji – to mój główny kierunek działań. Malarstwo również pozostało ze mną – w końcu namalowałem te maszyny, które fascynowały mnie w dzieciństwie. Lubię też malować martwą naturę.



Po ukończeniu studiów ważne było dla mnie utrzymanie kontaktu ze sztuką i wymiana myśli z innymi artystami. Dużo dały mi spotkania ze Zbyszkiem Sejwą i Bartkiem Nowakiem – rozmowy o sztuce współczesnej i najnowszej poszerzyły moje horyzonty. Dzięki nim poznałem wielu artystów o podobnych zainteresowaniach.

Świat poszerzył mi się jeszcze bardziej, gdy wziąłem udział w międzynarodowym festiwalu sztuki digitalnej *Digital_ia 15* w Szczecinie, który miał już renomę w Polsce i za granicą. Zgłosiłem pracę *Personal Zone*, inspirowaną interesującym mnie zagadnieniem strefy osobistej. Po intensywnej walce z czasem zbudowałem maszynę, która posiadała własną strefę osobistą i uchylała się od kontaktu z człowiekiem. Skoro ludzie, zwierzęta, a nawet rośliny mają swoją strefę osobistą – dlaczego nie maszyna? To pytanie nabiera znaczenia w kontekście rozwijającej się sztucznej inteligencji. Czy maszyny uzyskają strefę osobistą dzięki człowiekowi, czy stworzą ją same? – zastanawiałem się.

Zdołem drugie miejsce – pierwsze przypadło włoskiej artystce. To był sukces, ale jeszcze większym okazała się nagroda specjalna, ufundowana przez obecnych na festiwalu Norwegów, która umożliwiła mi prezentację pracy na festiwalu sztuki elektronicznej *Piksel* w Bergen. Spotkałem tam artystów z niemal całego świata – to była wielka przygoda. Norwegowie nazwali moją maszynę *Pink* – bo kto maluje maszyny na różowo?

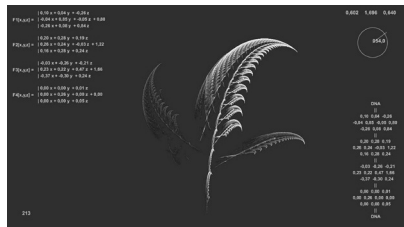
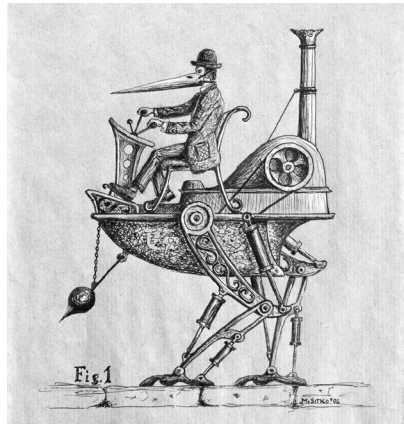
Rok później, w dniu moich urodzin, otrzymałem przesyłkę z Norwegii z rocznikiem *Norwegian Art Yearsbook 2016*. Znalazłem w nim swoją pracę wraz z tekstem norweskiej artystki Anne Marthe Dyvi – jej osobisty wybór najlepszej pracy festiwalu *Piksel_2015*.

Mój świat sztuki nadal się poszerza. Zbyszek Sejwa, będąc kuratorem Galerii Sztuki Najnowszej w gorzowskim MOS, zaproponował mi indywidualną wystawę. Przygotowałem wystawę *Strefa*, która rozwijała temat strefy osobistej. W jej przestrzeni galerii „wyrósł” mały las, w którym publiczność naruszała strefę osobistą drzew (fakt ten rejestrowały czujniki), bez oporów naruszała strefę *Pinka* (czasami sądząc, że chce z nimi tańczyć), a z obawami odkrywano strefę „czegoś” w całkowicie zaciemnionym pomieszczeniu.

Po wystawie Andrzej Wasilewski zaproponował mi asystenturę w swojej pracowni Sztuki Instalacji i Cybermediów w Akademii Sztuki w Szczecinie.

Przekazywanie wiedzy innym sprawia mi przyjemność – tym większą, gdy mogę mówić o sztuce i nauce jednocześnie. Przygotowałem serię wykładów, w których pokazuję, jak artyści inspirują się zagadnieniami naukowymi. Powstały m.in. *Kwanty i Sztuka, Chaos, fraktale i sztuka, Artysta w technosferze, Zanurzeni w falach*. Wykłady prowadzę w instytucjach kultury, szkołach i klubach. Dwukrotnie zostałem zaproszony do wygłoszenia wykładu w Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, co być może przyczyniło się do uzyskania tytułu finalisty ogólnopolskiego konkursu *Popularyzator Nauki 2021*.

To wielka przyjemność – móc robić to, co się naprawdę lubi.



MIĘDZY BRZEGIEM A BEZMIAREM. EGZYSTENCJALNY DZIENNIK OBECNOŚCI. O TOMIE KATARINY LAVMEL SIEDEM LOMBÓW I CZTERY STRONY ŚWIATA

Anna Dominiak

W świecie, który coraz szybciej wiruje, gubi punkty odniesienia, mnoży niepewności i rozprasza uwagę, Katarina Lavmel wybiera życie na uboczu. Osiedla się na São Miguel, jednej z najpiękniejszych, a jednocześnie najbardziej wymagających wysp Azorów. To doświadczenie staje się źródłem jej najnowszej książki *Siedem lombów i cztery strony świata* – tomu, który nie jest relacją z podróży, lecz intymnym zapisem codzienności. São Miguel – peryferyjna, dzika, surowa, a zarazem, jak ujmuje w jednym z wierszy, *wolna od cybernatręctwa* – nie stanowi jedynie tła tej opowieści. To przestrzeń, która współtworzy jej sens.

Autorka – niespokojny duch ze Słupska – niegdyś aktywna na lokalnej scenie literackiej, dziś z równą energią organizuje wydarzenia w Algarve, Tawirze czy Ponta Delgada. Ma na koncie kilka tomów poetyckich oraz redakcję trzech antologii, które połączyły twórców z Polski, Portugalii, Hiszpanii i Ameryki Południowej. Jest prezeską stowarzyszenia *Aren-di Cultural*, współpracuje z ambasadami i instytucjami kultury, integruje środowiska poetyckie ponad granicami. Angażuje się także na rzecz osób w kryzysach – dedykując swoje książki między innymi ofiarom przemocy, chorób nowotworowych i depresji.

Nowa książka poetki zawiera siedemnaście wierszy w dwóch językach – polskim i portugalskim. Przekładu na portugalski dokonała Teresa Fernandes Swiatkiewicz – z pełną wrażliwością na rytm i obrazowanie oryginału.

Tom zdaje się wyrastać z paradoksu: Azory są peryferiami świata, a zarazem centrum oceanu, przestrzeni, która stawia człowieka w samym środku, ale istnieje poza zasięgiem zgiętku i cyfrowych narracji. Tu życie płynie nie według medialnych doniesień, lecz w rytmie oceanu, który nadaje codzienności własny, niezależny porządek. Zielone, oszalate od bujnej roślinności, gęste od ziół i hortensji, przesiąknięte wilgocią, a jednocześnie – jak poetka mówi w jednym z wierszy – *wolne od cyfrowego zgiętku* – przypominają Bieszczady, Podlasie, może Islandię. Lavmel zapisuje proces powolnego wtapiania się w wyspę, jej odgłosy, aromaty i smaki, a także w mentalność mieszkańców, która z czasem staje się jej równie bliska jak krajobraz.

Tytułowe „lomy” to charakterystyczne dla Azorów strome wzniesienia, pokonywane przez mieszkańców, którzy wracają do domów lub schodzą ku oceanowi. *Pną się do góry ramiona ośmiornic – lomy / przyklejone do siebie domy jak syjamscy bracia grzeją sobie plecy zimą* – notuje poetka, zamieniając zwyczajny widok w metaforę bliskości. U Lavmel te codzienne podejścia i zejścia są nie tylko topografią miejsca, ale też dyktują sposób, w jaki toczy się życie. Starsi ludzie na lombach żyją w przeświadczeniu, że bliżej im do Boga niż do ludzi – może dlatego, że ta przestrzeń narzuca właśnie jakby wertykalny sposób patrzenia na świat, skłaniając do częstszego spoglądania w górę niż w dal.

„Azory” to po portugalsku jastrzębie. Ta etymologia wiąże się z legendą o pierwszych żeglarzach, którzy zobaczyli drapieżne ptaki krążące nad wyspami i tak nazwali archipelag. Jastrzębie wydają się trafnym symbolem charakteru wysp: niezależnych, czujnych, trudnych do ujarznienia. W książce Lavmel także wyspa nosi te cechy i ma w sobie coś z ptasiego paradoksu: z pozoru łagodna, potrafi odstąpić groźne oblicze. Przyjmuje przybysza, ale nie oferuje mu żadnych gwarancji, wymaga więc nieustannej uwagi i ostrożności. Poetka widzi w niej przestrzeń, która zachwyca urodą, ale bezlitośnie przypomina o swojej sile: to ziemia kapryśna i nieprzewidywalna. Zimowe noce potrafią tu brzmieć jak wycie wilka, a wilgoć i wiatr tną ostrzej niż nóż – ale wyspa bywa też czuła dla tych, którzy potrafią patrzeć cierpliwie.

Ta mieszanka zachwytu i grozy ujawnia się w każdym zakątku wyspy. Lavmel pisze o spektakularnej zieleni: odważnych paprociach, które strzelają pąkami w niebo, jakby nie znaly lęku przed przyszłością, o zmieniających się odcieniach oceanu, rybackich sieciach, hortensjach, które stały się symbolem São Miguel – wszystko to tworzy nie tylko dekorację, lecz formę życia, w którą można się zanurzyć, choć wymaga to odwagi. Egzystencjalna klaustrofobia, którą wyspa może wywoływać w człowieku, jest tu równie silna jak jej zmysłowe uroki. Ale ten krajobraz nie jest całkiem niewinny – natura zastawia pułapki, przypomina o tymczasowości ludzkiego śladu, a śmierć potrafi przybrać formę rwącego potoku czy powolnego wsiąkania pleśni w ściany domów. W tych realiach samotność okazuje się doświadczeniem powszechnym, to poczucie oddalenia od świata naznaczone ciszą i izolacją, jest jednym z bardziej wyrazistych tematów tomu.

Dlatego wiersze Lavmel nie są zapisem turystycznej fascynacji, jak można by sądzić po samym tytule, sugerującym pocztówkowe, wyidealizowane ujęcie. Z ich pozornej lekkości wyłania się ton powagi – nawet jeśli ubrany w ironię. W uważnej obserwacji prowadzonej przez poetkę codzienność nabiera głębi, ujawniając ukryte niuanse wyspiarskiego życia. Rzeczywistość Azorów jest tu jednocześnie swojska i osobna, spowolniona, ale nie idylliczna. Nawet krowy, które zdają się emanować spokojem, zmierzają ostatecznie ku rzeźni – zbyt oswojony obraz natychmiast zostaje zakwestionowany.

Tom nie stroni od metafizyki – rozumianej nie jako mistyczne uniesienie, lecz jako przekroczenie doraźności. Figura starej kobiety, obraz zwierząt, których los jest przesądzony, świadomość kruchości ciała i nieustępliwości natury otwierają sferę refleksji nad trwaniem, wspólnotą istnienia, a także nad tym, co w świecie nie podlega ludzkiej władzy.

Pod powierzchnią znaczeń przebiega linia czułości wpisana w relację dwojga ludzi. Miłość nie pojawia się tu jako temat, lecz jako dyskretny błysk między obrazami. To nie są wyznania, ale drobne rytuały i gesty, odstąpione w wersach jakby mimochodem: *W tym wzorze w paprocie bardzo ci do twarzy/zielona koronka listków drzy na policzku jak kurpiowska wycinanka* – poetka zatrzymuje obraz chwili, w której codzienna obserwacja przechodzi w doświadczenie bliskości. Uczucie w wierszach Lavmel staje się oparciem w obliczu samotności, łagodzi groźę wyspy. Chroni przed lękiem, ale go nie unieważnia.

To tom nie tylko poetycki – ma też walor poznawczy. Dowiadujemy się o historii wyspy, warunkach życia, rybackiej tradycji, roślinności, pirackiej przeszłości, legendach i topografii. Lavmel nie tworzy mitu – rejestruje świat z bliska, z wnętrza. Książkę można odczytywać jako dziennik podróży, ale nie mniej trafnym byłoby nazwanie jej dziennikiem obecności, pisanym z miejsca, które już nie jest obce, ale nie daje też pełnego komfortu zakorzenienia.

Poetka nie przemieszcza się – ona się zatrzymuje i oswaja ten wybrany przez siebie piękny skrawek globu, nie ignorując jego trudnych odcieni. To osvajanie nie oznacza jednak łągodzenia – przeciwnie, wiąże się z koniecznością przyjęcia także tej strony wyspy, która przeraża, bo jest tu przecież nie tylko zachwycająca zieleni i bajecznie kolorowe kwiaty, ale też czarna wilgoć, dokuczliwa pleśń: *Wilgoć towarzyszy nam nieustannie/ dniem i nocą rozpuszcza niewidoczne macki/ wsiąka w ubrania sofę fotele zastony okienne/ książki gazety leki futerały walizki (...) powleka pleśń*. Są też rwące potoki, które pochłaniają domy i ludzi. Poetka pisze o katastrofie sprzed lat – o ludziach zatopionych przez żywioł w samochodzie, którego wrak – niczym memento – dziś stał się domem dla ptactwa i przypomina, że to natura wyznacza reguły i nie ułatwia tu życia, ale bywa często sojuszniczką śmierci. Może dlatego czytamy w książce zdanie, że Azory to ziemia, która *kocha i docenia twardego ludzi*. Na osobną uwagę zasługują zdjęcia autorstwa Arturro Sobreiro. Albumowa forma książki – dzięki panoramicznym, uważnym ujęciom – wydobywa wizualny potencjał tej poezji. Nie są to ilustracje, lecz równorzędne spojrzenia – jakby tekst i obraz mówily tym samym językiem. Fotografie prowadzą czytelnika przez przestrzeń, tworzą atmosferę, pogłębiają opowieść. Całość przypomina poetycko-wizualny notatnik z wyspy, gdzie słowo i światło układają się w spokojną, choć niepozbawioną dramatów narrację.

Tom kończy się jednak jasnym obrazem – nie tyle pogodzenia, co pełniejszego oddechu. Poetka przywołuje Fernando Pessoa i zadaje pytanie o wartość życia, nie w tonie rozpacz, ale w świetle wysoko zawieszonoego nieba i oceanu, który kusi bezmiarem. São Miguel jawi się tu jako miejsce, które pozbawia złudzeń o łatwym raj, ale daje coś w zamian: poczucie uwolnienia od światowego zgiełku. *Kto powiedział, że uskrzydlenie przypisano wyłącznie ptakom?* – pyta retorycznie poetka, dobitnie pokazując, że wolność jest stanem umysłu. Ta wyspa uczy rezygnacji z nadmiaru i przywiązań. *Uczy uważności. Rzeczy są tylko rzeczami, czułe są tylko chwile* – mówi bohaterka, wpisując ulotność w sam środek istnienia. Wiersz kończy się gestem – prostym, nagłym, czułym. Właśnie w nim odstania się jeden z istotniejszych sensów tego wielowarstwowego tomu – to bliskość drugiego człowieka warunkuje pełnię egzystencjalnego doświadczenia.

Katarina Lavmel, *Siedem lombów i cztery strony świata* (cykl azorski).

Wydawca: Stowarzyszenie Polsko-Iberyjskie Arendi Cultural, Warszawa 2025.

SIEDZIE LOMBÓW
↓
cztery strony świata
(cykl azorski)

AS SETE LOMBAS
↑
os quatro cantos do mundo
(ciclo azoriano)



Katarina Lavmel

ANNA DOMINIAK: polonistka, bibliotekarka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Zajmuje się redakcją książek, a także moderuje spotkania literackie. Publikuje na łamach ogólnopolskiej i lokalnej prasy literackiej. Mieszka i pracuje w Świebodzinie.

W DRODZE DO GWIAZD

Beata Igielska

Ad astra to tytuł czwartej już antologii, której autorami są poetki i poeta z Międzyrzeckiego Saloniku Literackiego.

Aleksandra Biela, Kamila Kogut, Beata Kwiatkowska, Maria Marciniak, Łukasz Romaniak, Dorota Ruta-Zdanowicz, Zuzanna Strzemiecka i Marzena Wieczorek są w różnym wieku, pochodzą z różnych miejsc, ale łączy ich pasja. Piszą wiersze i dzielą się nimi nie tylko między sobą. Kolejny raz ich utwory znalazły się w zbiorze wydanym za sprawą Międzyrzeckiego Ośrodka Kultury.

O czym piszą? O miłości, smutku, nadziei, dojrzewaniu, śmierci... Tematy, bez których poezja nie może się obyć. I chociaż problematyka tych wierszy nieraz jest podobna, inne są środki wyrazu. Jednocześnie liryki są dojrzałe; widać w nich wrażliwość na słowo i umiejętność operowania nim. A nawet bawienia się czy eksperymentowania, czego przykładem są utwory Aleksandry Bieli.

Poetka ta w przewrotny sposób rozwija i interpretuje związki frazeologiczne. Ciekawie też pisze o procesie tworzenia w autotematycznych *Po-wierszach*.

Uwagę na pewno zwracają liryki odwołujące się do różnych tekstów kultury. Konteksty mitologiczne, biblijne, literackie odnajdujemy w twórczości Kamili Kogut, która wykorzystuje i rozwija je w sposób dojrzały, metaforyczny, erudycyjny, łącząc przeszłość z teraźniejszością.

Wczoraj i dziś obecne są też w wierszach Łukasza Romaniaka. To historiozoficzna, metafizyczna poezja, która nieraz polemizuje z łacińską sentencją *Historia est magistra vitae*.

Ważną rolę w tych wierszach odgrywa pamięć, która w poruszający sposób została ukazana w *Pustych kamienicach*. Uderza w lirykach Romaniaka połączenie prostoty formy i języka z głębią przekazu. Nie jest to łatwa sztuka i udaje się nie licznym. Ekonomia słowa nie odziera w tym przypadku poezji z metaforyczności, symboliki i alegorii. Są one jednak wykorzystane z chirurgiczną precyzją, co robi ogromne wrażenie, na pewno większe niż barokowe rozdzieranie szat.

Częstym elementem w utworach antologii są motywy ze świata przyrody, także tej nieożywionej. W wierszach tych nieraz widać poszukiwanie odpowiedzi na pytania: Czym jest życie? Kim jesteśmy i dokąd zmierzamy?

W *Ad astra* – oczywiście – pojawiają się też gwiazdy. Jest i kosmos – jako dostowna oraz przenośna przestrzeń.

Jak podkreśla w słowie wstępnym Renata Dyla, bibliotekarka i pomysłodawczyni Międzyrzeckiego Saloniku Literackiego:

tytuł antologii (...) niezmiennie przypomina nam o nieograniczonych możliwościach ludzkiej wyobraźni oraz o drodze, jaką pokonujemy, by przekraczać granice własnej codzienności.

Codziennosc także odnajdziemy w wierszach międzyrzeckich poetek i poety, lecz ukazana jest ona w sposób niecodzienny, gdyż potrafią oni dostrzec elementy niezwykle w pozornie zwykłym świecie. Robią to w różny sposób, dlatego się uzupełniają i dlatego każdy może odnaleźć w zbiorze *Ad astra* coś dla siebie.

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad 30 ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowięci. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich i zastępczyni redaktora naczelnej „Pegaza Lubuskiego”.



MIJAJĄ KRAJOBRAZY

Helka Cąkała

29 marca 2010, poniedziałek

By kogoś lub coś prawdziwie pokochać i cenić, trzeba to najpierw stracić jak zagubioną drachmę, jak zabitego syna, jak utracone zdrowie, jak zmarłego męża. Potem się grzebie w ciemnościach i zakamarkach pamięci, żeby z mozołem odtworzyć i budować wciąż na nowo i pielęgnować ten odtworzony wizerunek, może nie całkiem odpowiadający prawdzie, ale piękniejszy, droższy, bliższy sercu jak wyblakła fotografia, w której doszukujesz się drobnych serdecznych szczegółów. Fotografia pamięci. Oto Pawełek z opuszczoną główką, uważny, skupiony, żeby nie rozlać, niesie dziecięce wiaderko wypełnione wodą. Podniósł drobną nóżkę i na zawsze już tak został z tą nogą gotową do kolejnego kroku. A tu Piotruś unoszący ciemne brewki patrzy ufnie, pytająco, prosto w obiektyw, zdumiony trochę. I Julek z grymasem płaczu na pyzatej buzi. Dlaczego płakateś? „Bo Piotruś cipał pupę.” No tak. Chcieli sfotografować płaczącego brata, więc jeden szczypał, a drugi zrobił zdjęcie, które wspiera dziś pamięć ulotną i kruchą. Kto wtedy wiedział, że to jest szczęśliwa rodzina? Paweł nie żyje, kochany mężczyzna umarł, Piotr daleko, Julek jeszcze dalej. Jestem sama w tym niegdyś gwarnym mieszkaniu. Czy jest w tym jakiś sens? Jakaś nauka? Ależ skąd! Taki los – cios w nos. I wciąż trzeba od nowa podnosić się i iść do następnego upadku. Rodzą się ludzie i umierają. Rodzą się narody i cywilizacje i umierają. A ponad tym wszystkim jęk cierpienia przetykany sekundami pogody i radości, wątpliwymi przebłyskami nadziei.

I mijają krajobrazy. I gdy wrócisz w to swoje miejsce dobrze zapamiętane, to nie poznajesz, bo ono też się zmieniło. Dziwię się wszystkiemu. Dom zmalął, lipy wycięte, ulice jakieś zapyziate, place to placyki, obce wszystko. I przyjaźnie umarły, nikogo nie poznajesz. Gdzie oni wszyscy? Tylko życie jest. Wciąż pulsuje, zmienia się, mieni jak magma, dyszy, paruje, wciąż inne, nowe jak rzeka – wciąż jest, choć płynie. Nie wejdiesz drugi raz, nie wejdiesz. Boś ty już nie ta sama, a i rzeka niesie nowe wody. Heraklit to wiedział i ja odkrywam i pytam ogłupiała, gdzie to wszystko? Czy pamięć umarła? Ten zarośnięty kawałek to mój ogród? Te parę krzaków? A studnia? Gdzie studnia? Zasypana. Zresztą, jaka tam studnia? Studzienka. Wody tyle, co kot napłakał. Ot, do podlania kilku pomidorów. I dzikiego stepu nie ma. Czy to było, czy sobie to wszystko wymyśliłam? Nawet Jacek, nawet on wyjrzał przez kuchenne okno i zdziwił się: Ciociu, to jest to podwórze ogromne? Parę kroków i już koniec?

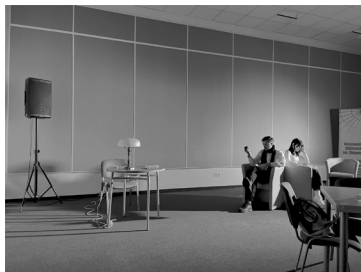
Tak. Byliśmy mali, a miejsca były duże, myśmy wydorosleli, zmierzylśmy kawałek świata, a miejsca skurczyły się. Wszystko jest względne, nawet prawda, kłamstwo, piękno, sprawiedliwość. Wszystko zależy od perspektywy, punktu widzenia, dystansu czasowego. A dobro i zło? Boję się, że ono też. Jest, co jest. Liczy się dziś. Przeszłości już nie ma, przyszłości jeszcze nie ma i może nie będzie, przynajmniej w wymiarze jednostkowym. Nic pewnego, a człowiek szuka czegoś trwałego, pewnego. To dlatego tak kurczowo trzyma się Boga, idei, słuszności, sprawiedliwości. Czasem szuka ratunku w cynizmie, ironii i drwinie, czasem w dystansie i stoicyzmie, albo filozofiach Wschodu. Zawsze staram się być zajęta, żeby nie dopadały mnie takie myśli. Teraz codzienne zabiegi higieniczne i spać. Przyśni mi się może moje ogromne podwórze z dzieciństwa z pieńkiem do rąbania drewna, a może ojczulek klepiący kosę. U kogo można sobie zamówić sen?

KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

TYDZIEŃ BIBLIOTEK

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



W dniach 8-15 maja Biblioteka Herberta świętowała Tydzień Bibliotek. W ramach obchodów zorganizowano spotkania autorskie i literackie, konkursy recytatorskie oraz liczne warsztaty edukacyjne, literackie, plastyczne, rękodzielnicze, czytelnicze i biblioterapeutyczne, a nawet zajęcia z polskiego języka migowego. Ważnym punktem programu było seminarium pt. „Przyjazne serca mnie ogrzewają” poświęcone Marii Przybylak, współ-

organizowane przez Związek Literatów Polskich przy współpracy z RSTK i Miejskim Centrum Kultury. Odbyły się również dwa czytania performatywne – pierwsze, podczas którego przedstawiono dramat Iwony Kusiak pt. *Żegnaj księżę* w wykonaniu Teatru Mostów oraz drugie, poprowadzone przez dr Krystynę Kamińską i dotyczące korespondencji Czesława Miłosza oraz Ireny i Tadeusza Byrskich, odczytanej przez Marzenę Wieczorek oraz Artura Netkowskiego. W toku Tygodnia Bibliotek zaproszono gorzowian na spotkania autorskie takich twórców, jak Weronika Kostyrko, Hanna Kaup czy Olga Smolec-Kmoch. Ponadto otwarte zostały dwie wystawy – „II Konkursowa Wystawa Fotograficzna członków PTTK Stilon i PPTK Ziemia Gorzowska” oraz wystawa ze zbiorów prywatnych Grzegorza Musiałowicza i dr. Zbigniewa Syski pt. „Wydawnictwa II i III obiegu z czasów cenzury PRL”.

NOCNY SZLAK KULTURALNY

Biblioteka Herberta wzięła udział w tegorocznym Nocnym Szlaku Kulturalnym, zachęcając gorzowian do uczestnictwa w dwudniowym cyklu niezwykłych atrakcji.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



Pierwszego dnia – 13 czerwca – gościliśmy przyjaciół oraz żonę znanego polskiego kajakarza i podróżnika Aleksandra Doby: Tomasza Przeździeckiego, Bogumiła Jareme Jarekiego oraz Gabrielę Dobę, którzy przybliżyli sylwetkę kajakarza oraz urozmaicili wieczór licznymi wspomnieniami. Podczas wydarzenia wystawiono kajak, którym Aleksander Doba przepłynął Ocean Atlantycki. W holu odbył się wernisaż wystawy Marcina Giedrowicza pt. „Rdza”, ozdabiającej trzy piętra gorzowskiej Książnicy w sekcjach: „ONA i ON” (parter), „RDZA” (I piętro)

oraz „WILKI” (II piętro). Różnorodność form eksponowanej twórczości, a także łączący je motywy rdzy przyciągnęły do naszego gmachu wielu pasjonatów sztuki. Młodzi gorzowianie również mogli liczyć na atrakcje w Oddziale Dziecięcym, gdzie czekała na nich “Kosmiczna wyprawa – nocna zabawa”. Wśród wielu zajęć plastycznych, animacyjnych i edukacyjnych najważniejsza była dobra zabawa w kosmicznej przestrzeni Biblioteki Herberta.

Z kolei podczas drugiego dnia szlaku zorganizowaliśmy quest – grę terenową „Biblioteka Herberta i Willa Hansa Lehmana”. Uczestnicy mogli zwiedzić gmach Książnicy ze specjalną ulotką zapraszającą do licznych zadań i zagadek, a po ukończeniu wszystkich wyzwania otrzymali pieczęć oraz upominek. Zwiedzający mogli także włączyć się w akcję „Zabytkowe Opowieści pod Nocnym Niebem” – wycieczkę z przewodnikiem po Bibliotece Herberta i jej okolicach. Jednocześnie zaprosiliśmy gorzowskich literatów na nocne czytanie w stylu groteskowym ph. „Gwiazdy się śmieją, książki tańczą”. Wybrane teksty polskich autorów o zabarwieniu groteskowym odczytali: Iwona Żytkowiak, Danuta Szulczyńska-Miłosz, Sebastian Gross, Sławomir Szenwald, Aneta Gizińska-Hwozdyk oraz uczniowie II Liceum Ogólnokształcącego. Oba dni obfitowały również w muzykę za sprawą koncertów fortepianowych Leny Juszkiewicz oraz występu chóru Cantabile pod batutą Dągmary Barny-Kosowicz.

VARIA

29 kwietnia w gorzowskiej Książnicy wystąpili trzej wybitni akordeoniści, absolwenci Królewskiej Duńskiej Akademii Muzycznej – José Valante, Flemming Valmundsson, Dawid Rydz, czyli zespół TriOssia. W repertuarze koncertu znalazły się dzieła Bacha, Tiensuu czy Griega.

19 maja w gorzowskiej Książnicy gościliśmy amerykańskiego pianistę Sama Rotmana. Muzykę zagrał dla gorzowian fenomenalny koncert, który był współorganizowany przez Fundację NIDUM na Rzecz Edukacji Społecznej i Obywatelskiej oraz Kościół Chrześcijan Baptystów w Gorzowie Wielkopolskim.

4 czerwca w holu Biblioteki wybrzmiały głosy wokalistów ze Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. T. Szeligowskiego z klasy śpiewu Beaty Gramzy. Uczniom akompaniowały Magdalena Bańkowska-Moskwa oraz Anastaziya Lukyanenko. Repertuar obejmował pieśni słowiańskie oraz utwory polskich poetów.

20 lipca oraz 3 sierpnia odbyły się dwie odsłony Letniego Czytania organizowane przez WiMBP w Gorzowie oraz Bibliotekę – Centrum Kultury w Lubniewicach. Pierwsza z nich miała miejsce w Parku Miłości w Lubniewicach, gdzie fragmenty tekstów kulturowych utworów polskiego rocka odczytała aktorka Teatru im. J. Osterwy Marzena Wieczorek, a z programem „Gwiazdy Polskiego Rocka” wystąpił kwartet smyczkowy AQuartet. Podczas drugiej odsłony w parku przy mauzoleum w Jarnatowie poezję Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej odczytała Marzena Wieczorek, a z koncertem muzycznym wystąpił zespół Con Amabile.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

SPOTKANIA AUTORSKIE

5 czerwca w Bibliotece Herberta promowano publikację Elizy Batury pt. *Dzieła Williama Szekspira w przekładach jako klucz do odbioru dramatów Cypriana Kamila Norwida*. Dyskusję na temat książki doktorantki prowadzili jej recenzenci – prof. AJP dr hab. Katarzyna Taborska oraz prof. AJP dr Arkadiusz Kalin.

10 czerwca gorzowską Książnicę odwiedził Wojciech Bonowicz – poeta, publicysta, dziennikarz znany m.in. z biografii ks. Józefa Tischnera. Spotkanie, moderowane przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk, stanowiło okazję do przybliżenia publiczności stosunku pisarza do świata – słowa, człowieka, zwierząt, a także do przypomnienia o mocy naszej wrażliwości i bliskości.

Tego samego dnia w Filii nr 1 gościem, który wręczał nagrody podczas rozstrzygnięcia konkursu ph. „Najpiękniejsze baśnie świata”, był Rafał Witek – autor ponad 50 książek dla dzieci i młodzieży. Po nagrodzeniu laureatów pisarz uczestniczył w rozmowie z uczniami, podczas której przedstawił swoje techniki przy pracy z książkami.

PEGAZ LUBUSKI

26 czerwca w Bibliotece Herberta promowano dwie publikacje: „Pegaz Lubuski” 2/101 oraz *Translandię* autorstwa dr. Macieja J. Dudziaka. Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk zaprosiła autora *Translandii* do rozmowy, podczas której poruszono kwestie tożsamości kulturowej i poczucia przynależności społeczeństw z obszarów pogranicza.

NOWA MARCHIA

6 maja gorzowski regionalista Robert Piotrowski wygłosił wykład pt. „Góra Kozacka i Pawilon Schoenfliesów, czyli gorzowska amnezja”, omawiając historię ufundowania Pawilonu Schoenfliesów na szczycie Góry Kozackiej – obecnie Parku Siemiradzkiego. Podkreślił, że ten punkt widokowy został sfinansowany przez obywateli z ich środków prywatnych.

6 czerwca dr hab. Karolina Ćwiek-Rogalska, autorka publikacji pt. *Ziemie. Historie odzyskania i utraty*, w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie” przedstawiła prelekcję dotyczącą powojennej historii Ziemi Wałęckiej. Spotkanie moderował dr Grzegorz Urbanek.

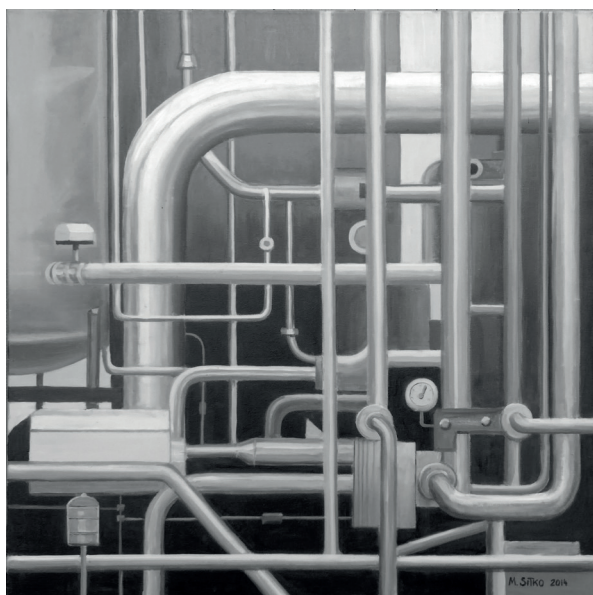
WYSTAWY

3 maja uczniowie gorzowskiego Liceum Sztuk Plastycznych wzięli udział w warsztatach oraz wystawie zorganizowanych w ramach polsko-niemieckiego projektu Festiwal Książki Ilustrowanej. Uczniowie zapoznali się z wystawą o tematyce AI powstałą w Niemczech podczas polsko-niemieckich warsztatów, a także uczestniczyli w plenerowych warsztatach rysunku.

25 maja Przemysław Szydłowski podczas wernisażu wystawy zaprezentował swoje obrazy, charakteryzujące się intensywnym kolorem, dbałością twórcy o ekspozycję światła czy sposobieniem realizmu i abstrakcji. Wystawę malarstwa eksponowano w Galerii „Pod Kopułą”.

OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: On/Off	1
WIERSZE NA OTWARCIE	
Robert Rudiak: ars goetia / requiem	2
jubel / caritas / meditatio mortis	2
TEMAT NUMERU: ON / OFF	
Agnieszka Moroz: DOBRZE UKRADNĘ, LEPIEJ SPRZEDAM. ILE KSIĄŻEK NAPISANYCH PRZEZ AI PRZECZYTAŁIŚMY?	4
FELIETON	
Agnieszka Zatyłna: KONTURY	7
POEMAT	
Jerzy Fryckowski: SŁUBICE	9
POEZJA	
Maria Borcz: W POCZUCIU STRACONEGO CZASU	14
homo urbanus	14
światło	14
to nic	14
TEMAT NUMERU: ON / OFF	
Maciej J. Dudziak: TEN, KTÓRY PAMIĘTAŁ ZA INNYCH, CZYLI GDY ŚWIAT JEST OFF	15
POEZJA	
Monika Miłoś: OFF(last)ROAD	22
UmieraNie!	22
*** [„gaśniesz...”]	22
OPOWIADANIE	
Aneta Gizińska-Hwozdyk: JESTEM BOOGIEM... KU PRZESTRODZE – PRZYPOWIASTKA	23
POEZJA	
Janina Jurgowiak: LATO	26
POMILCZ ZE MNĄ	26
*** [„Przeżyliśmy razem tyle...”]	26
ŚWIADECTWO	26
Tomasz Korbanek: nostalgia	27
eden	27
chcę...	27
MINIATURA	
Łucja Fice: MARZENIA I SEN SPRZED DZIESIĘCIU LAT	28
POEZJA	
Jolanta Karasińska: GORSET	30
NAIWNIA	30
Jerzy Hajduga: Chwila	31
Początek	31
Edyta Plucińska: robi się ciszej	32
pełnia	32
MŁODZI PISZA	
Anna Cerajewska: FF	33
TEATR	
Mirosława Szott: TERMINUS A QUO – ZARAZ 50 LAT OFFOWEGO TEATRU Z NOWEJ SOLI	35
LIMERYKI	
Zbigniew Witostawski: *** [„W panikę wpadł ...”]	37
*** [„Zaradny filozof z...”]	37
*** [„Pewien wirtuoz z...”]	37
SATYRA	
Ferdynand Głodzik: WYROK W OSTATNIEJ INSTANCJI	38

FRASZKI	
Jerzy Grodek: ZAPOWIEDŹ NOWEGO TOMIKU	39
Na Jerzego ha, ha, ha	39
Na europejskie przygany	39
Na bezprapny czas	39
Na poklask	39
Na ekologię	39
Na codzienność	39
Na opaleniznę	39
Na pięknisia	39
Na Jurka z naturą	39
ROZMOWA	
Agnieszka Moskaluk: PAMIĘĆ PIEŚNI, PAMIĘĆ RYTMU, PAMIĘĆ SŁOWA	40
WSPOMNIENIE	
Anna Dominiak: Samotny pilot wyobraźni – JERZY ALSKI (1951-2025)	47
ESEJ	
Agnieszka Moskaluk: DEMASKOWANIE NIEPAMIĘCI	48
SZTUKA	
Marek Sitko: TECHNIKA, NAUKA, TWÓRCZOŚĆ	53
RECENZJA	
Anna Dominiak: MIĘDZY BRZEGIEM A BEZMIAREM. EGZYSTENCJALNY DZIENNIK OBECNOŚCI. O TOMIE KATARINY LAVMEL „SIEDEM LOMBÓW I CZTERY STRONY ŚWIATA”	58
Beata Igielska: W DRODZE DO GWIAZD	61
KARTKA Z PAMIĘTNIKA	
Helka Cąkała: MIJAJĄ KRAJOBRAZY	63
KWARTAŁ U HERBERTA	
Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA	64



SŁOWNIK PISARZY LUBUSKICH

Robert Rudiak

Jedną z inicjatyw ZLP na nadchodzący jubileusz 65-lecia Oddziału w Zielonej Górze, który przypada na rok 2026, będzie wydanie informatora biograficznego w postaci *Słownika pisarzy lubuskich*. Trwa gromadzenie danych do słownika. Aby w nim się znaleźć, należy mieć wydaną samodzielnie przynajmniej jedną książkę autorską z zakresu literatury pięknej (poezja, proza, dramat) oraz zamieszkiwać na terenie województwa lubuskiego lub dawnego zielonogórskiego i gorzowskiego. Notka o autorze musi zawierać:

1. imię i nazwisko,
2. dokładną datę i miejsce urodzenia,
3. tytuł czasopisma i rok debiutu prasowego,
4. miejsce zamieszkania,
5. tytuły wydanych książek (tytuł, nazwę wydawnictwa, miejsce i rok wydania oraz oznaczenie, czy jest to książka poetycka, prozatorska lub zbiór dramatów),
6. cyfrową, kolorową fotografię twarzy autora wykonaną w wysokiej rozdzielczości,
7. kontakt do autora (numer telefonu i adres e-mail).

Zbieranie not biograficznych będzie prowadzone **do końca 2025 roku**. Noty wraz z fotografią cyfrową należy przysyłać pod adres e-mail: pasjeliterackie@tlen.pl



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim

zaprasza na galę

V OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO im. Jana Grossa



Wydarzenie poprowadzi

Tomasz Jachimek

fot. Magdalena Bednarek OKIEM MEG

Wystąpi zespół

Dixie Drivers

14.11.2025

17.00

Biblioteka Herberta,
ul. Sikorskiego 107, s. 102